This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

PISMA
H. SIENKIEWICZA

82472

A

KIEWICZA

RIPOZY
EJ

SZA
HNI
189

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XIX

TA TRZECIA — SACHEM
SIELANKA — WSPOMNIENIA Z MARIPOZY
Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ
WYCIECZKA DO ATEN

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1896

PG7158
S4
1883
v.19

Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Декабря 1895 г.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

TA TRZECIA.

I

Pracownia, w której mieszkaliśmy i malowali ze Świateckim, była niezapłacona, raz dlatego, że we dwóch mieliśmy coś około pięciu rubli, a powtóre, że czuliśmy zupełnie szczery wstręt do płacenia komornego.

Nazywają nas malarzy rozrzutnikami, a ja pierwszy wolę przepić pieniądze, niż marnować je na płacenie gospodarzowi.

Co do naszego gospodarza, nie był to zły człowiek, a przytem znaleźliśmy na niego radę.

Kiedy, zwykle rano, przychodził się upominać, Świątecki, który sypiał na sienniku na ziemi, a nakrywał się turecką firanką, używaną przez nas jako tło do portretów, podnosił się do połowy i mówił grobowym głosem:

— Dobrze, że pana widzę, bo śniło mi się, żeś pan umarł.

Gospodarz, który był przesądny i widocznie bał się śmierci, mieszał się zaraz nadzwyczajnie, Światecki zaś rzucał się nawznak na siennik, wyciągał nogi, składał ręce na piersiach i mówił dalej:

— Takem pana widział, jak teraz: miałeś pan białe rękawiczki z zadługiemi palcami i lakierki; zresztą, nie byłeś pan bardzo zmieniony.

Wówczas ja dodawałem z kolei:

— Czasem się takie sny nie sprawdzają.

Zdaje się, że to „czasem“ doprowadzało gospodarza do desperacyi. Kończyło się na tem, że wpadał w gniew, trzaskał drzwiami i słyszeliśmy jak schodził po cztery schody odrazu, klnąc na czem świat stoi. Poczciwa dusza nie chciała jednak przysłać nam komornika.

Co prawda, to niebardzo było co zabierać; zapewne obliczał sobie gospodarz, że do tej pracowni i przyległej do niej kuchenki sprowadzą się inni malarze i będzie to samo, albo gorzej.

Jednak ostrze tego naszego sposobu stępiało zczasem. Gospodarz oswoił się z myślą o śmierci. Światecki zamierzał właśnie wykonać trzy obrazy w rodzaju Würtza p. t. „Skon“, „Pogrzeb“ i „Przebudzenie się z letargu“. Naturalnie we wszystkich miał figurować nasz kamienicznik.

Takie grobowe rzeczy stanowią specyalność Świateckiego, który, według własnego wyrażenia, maluje: „truposze", „trupielce" i „trupięta". Pewnie dla tego nikt nie chce kupować jego obrazów, bo zresztą ma talent. Posłał właśnie do Salonu paryskiego dwa „truposze", a że i ja posłałem moich „Żydów nad Wisłą", których w katalogu Salonu ochrzczono „Żydami nad rzekami Babilonu", więc czekaliśmy z niecierpliwością na wyrok *jury*.

Naturalnie Światecki przewidywał, że wszystko będzie jaknajgorzej, że *jury* składa się z ostatnich idyotów, a choćby się nie składało z idyotów, to ja jestem idyotą, on jest idyotą, nasze obrazy są idyotyczne, a nagrodzenie ich byłoby szczytem idyotyzmu!

Ile ta małpa mi krwi napsuła przez dwa lata, w czasie których mieszkaliśmy razem, tego nie potrafię opisać.

Świateckiego cała ambicya polega na tem, żeby uchodzić za moralnego „truposza". Pozuje między innemi na pijaka, którym nie jest. Wlewa w siebie dwa albo trzy kieliszki wódki i patrzy, czy to widzimy, a gdy nie jest pewien, trąca którego z nas łokciem i spoglądając z podełba, pyta podziemnym głosem:

— Prawda, jak ja już nisko upadłem... co?... prawda?...

Odpowiadamy mu na to, że jest głupi. Wówczas wpada we wściekłość i niczem nie można wprowadzić go w gorszy humor, jak okazaniem niewiary w jego moralny upadek. Przytem poczciwe chłopisko z kościami.

Raz zabłądziliśmy w górach w Salzkammergut, koło Zell am See.

Ponieważ zapadła noc i łatwo było kark skręcić, więc Światecki powiada do mnie:

— Słuchaj Władek, ty masz większy talent, więc ciebie większa szkoda. Ja pójdę naprzód... Jak zlecę, ty posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie dasz jakoś rady.

— Nie pójdziesz naprzód, odpowiadam, tylko ja pójdę naprzód, bo mam lepsze oczy.

Na to Światecki:

— Jak karku dziś nie skręcę, to i tak skończę w kanale... wszystko mi jedno.

Zaczynamy się sprzeczać.

Tymczasem robi się ciemno jak w piwnicy. Koniec końcem umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy.

Światecki wyciąga węzełek i rusza naprzód.

Posuwamy się przełęczą. Z początku jest dość

szeroko, później coraz węziej O ile możem wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej, okruchy zwietrzałych skał usuwają nam się zpod nóg...

— Idę na czworakach, bo niemożna inaczej! — mówi Światecki.

Rzeczywiście niemożna było inaczej, więc opuszczamy się na czworaki i idziemy dalej, jak dwa szympansy.

Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic. Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Światecki siada oklep, ja za nim i opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód z nadzwyczajną szkodą naszych szat.

Po niejakim czasie słyszę głos Świateckiego:

— Władek?

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... musi być przepaść.

— Weźże jaki kamień i ciśnij... posłuchamy, czy długo leci.

W ciemności słyszę, jak Światecki maca rę-

koma, by wynaleść jaki okruch zwietrzałej skały, a następnie mówi:

— Ciskam... słuchaj.

Nadstawiamy obaj uszu...

Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nie!

— Ładnieśmy się wybrali! musi być ze sto sążni.

— Ciśnij jeszcze raz.

Światecki wynajduje większy okruch, ciska.

Ani odgłosu.

— Cóż tam dna niema, czy co! — mówi Światecki.

— Trudna rada! będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Światecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko napróżno. Upływa godzina, druga, wreszcie słyszę głos Świateckiego:

— Władek, a nie zdrzemnij się... nie masz papierosa?

Pokazuje się, że papierosy mam, ale zapałki wyszły nam obydwóm. Rozpacz! Godzina może być pierwsza w nocy, albo nawet i nietyle.

Zaczyna popadywać drobniuchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że, żyjąc między ludźmi, czy w miastach,

czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni.

Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie zajmuje mnie.

Siedzieć wśród głuchej nocy na skalistym grzbiecie jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle stołecznemu łykowi nie trafi; ale wkrótce robi się zimno, a na dobitkę Światecki zaczyna filozofować:

— Cóż to jest życie? życie jest poprostu świństwo. Powiadają: sztuka! sztuka! Niech mnie razem ze sztuką... Czyste małpiarstwo natury, a w dodatku podłość... Dwa razy widziałem przecie Salon. Nasłali tyle obrazów, że możnaby z tego płótna porobić sienniki dla wszystkich Żydów w świecie, a cóż to było? Najpodlejsze schlebianie gustom sklepikarzy, jakie tylko być może, obrachowane na handel, czy na napychanie brzuchów. Nierząd sztuki, nic więcej! Żeby tam sztuka była, toby ją paraliż trzasnął, na szczęście prawdziwej sztuki niema na świecie... jest tylko natura. Być może, że natura to także świństwo... Najlepiej byłoby skoczyć tam ot... i raz skończyć. Zrobiłbym to, gdybym miał wódkę, ale że nie mam

wódki, więc tego nie zrobię, bom sobie przysiągł, że trzeźwy nie skończę.

Byłem przyzwyczajony do gadaniny Świateckiego, jednak wśród tej ciszy i zabłąkania, w chłodzie, w ciemności, nad przepaścią, słowa jego nastroiły i mnie ponuro. Na szczęście wygadał się i ustał. Rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy „ani słychu“ i odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niezadługo powinien się był zacząć brzask, gdy nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł.

Było jeszcze ciemno i nie mogłem nic dojrzeć, ale byłem pewien, że to orły poczynają krążyć nad przepaścią: „kra! kra!“ rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słychać tak dużo tych głosów, jakby przelatywały całe legiony orłów. Ale bądźcobądź zwiastowały one dzień.

Jakoż po niejakim czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świateckiego, zupełnie jak czarna sylwetka, na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą. Następnie pyszny, bladosrebrny ton począł przeświecać na skale, na plecach Świateckiego i nasycał coraz bardziej cie-

mność, zupełnie jakby kto dolewał do niej srebrnego płynu, który wsiąkał w nią, mieszał się z nią, czynił ją z czarnej szarą, z szarej perłową. Była w tem jednocześnie jakaś surowość i wilgoć; nietylko skała, ale i powietrze wydawało się mokre.

Co chwila robi się świetliściej.

Patrzę, staram się zapamiętać te zmiany tonu i potrosze w duszy maluję, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świateckiego:

— Tfu! idyoci!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Światecki! — krzyczę — co robisz!

— Nie wrzeszcz! patrz!

Przechylam się, spoglądam — cóż się pokazuje. Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głuszyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; wdali widać drogę, na niej wrony, które poczytałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, żeby pójść najspokojniej do domu.

Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami całą bożą noc.

Nie wiem dlaczego, teraz oto, gdyśmy w pracowni oczekiwali ze Świateckim nadejścia gospodarza, ta przygoda, od której upłynęło już z półtora

roku, przypomniała mi się tak, jakby to było wczoraj.

Wspomnienie owo dodało mi narazie dziwnej otuchy, więc mówię zaraz do Świateckiego:

— Pamiętasz Antek, jakto myśleliśmy, że siedzimy nad przepaścią, a pokazało się, że przed nami równa droga. Tak może być i teraz. Oto jesteśmy biedni jak szczury kościelne, gospodarz chce nas wylać z pracowni, tymczasem może się wszystko zmienić. Nuż otworzy się jaka śluza ze sławą i monetą?...

Świątecki siedział właśnie na sienniku i naciągał bót, mrucząc przytem, że życie składa się z naciągania bótów rano, a ściągania ich wieczorem i że ten tylko ma rozum, kto ma odwagę się powiesić, czego, jeśli on, Świątecki, dotąd nie zrobił, to wyłącznie dla tego, że nietylko jest ostatnim głupcem, ale w dodatku podłym tchórzem.

Wybuch mego optymizmu przerwał mu rozmyślania, więc podniósł na mnie swe rybie oczy i powiada:

— Ty zwłaszcza masz się z czego cieszyć; onegdaj Susłowski wylał cię z domu i z serca córki, a dziś gospodarz wyleje cię z pracowni.

Niestety! Świątecki mówił prawdę. Trzy dni temu jeszcze byłem narzeczonym Kazi Susłowskiej,

tymczasem we wtorek zrana... tak! we wtorek! odebrałem od jej ojca list następujący:

„Kochany panie!

Córka nasza, ulegając perswazyi rodziców, zgadza się na zerwanie związku, który dla niej byłby nieszczęściem. Mogłaby ona znaleść zawsze schronienie na łonie matki i pod dachem ojca, lecz właśnie do nas rodziców należało zapobiedz tej ostateczności. Nietyle pańskie położenie materyalne, ile pański lekkomyślny charakter, którego mimo wszelkich starań ukryć nie mogłeś, skłaniają nas i naszę córkę do zwrócenia mu słowa i zerwania z nim dalszych stosunków, co zresztą nie zmieni naszej dla pana życzliwości.

Z poważaniem

Heliodor Susłowski,

b. naczelnik w b. komisyi skarbu K. P.“.

Tak brzmiał list...

Że z mojej pozycyi materyalnej możnaby dla psa bóty uszyć, na to się mniej więcej zgadzam, ale czego ten patetyczny goryl chciał od mego charakteru, tego doprawdy nie rozumiem.

Głowa Kazi przypomina typy z czasów dyrektoryatu i pysznieby jej było, gdyby chciała się czesać nie według dzisiejszej, ale według ówczesnej mody. Próbowałem nawet o to prosić, zre-

sztą naprożno, bo ona tych rzeczy nie rozumie. Natomiast koloryt twarzy ma tak ciepły, jakby ją Fortuni malował.

Za to samo kochałem ją szczerze i pierwszego dnia po odebraniu listu Susłowskiego chodziłem jak struty. Dopiero drugiego dnia i to wieczorem trochę mi ulżyło, bom sobie powiedział: nie, to nie! Najwięcej mi pomogło do zniesienia ciosu to, żem miał głowę zajętą Salonem i memi „Żydami". Byłem przekonany, że to jest porządny obraz, chociaż Światecki prorokował, że go nawet z przedsionka Salonu wyleją.

Zacząłem go malować jeszcze przed rokiem. Było tak:

Idę sobie wieczorem nad Wisłą, patrzę: rozbił się galar z jabłkami. Andrusy wyławiają jabłka z wody, a nad brzegami siedzi cała rodzina żydowska w takiej rozpaczy, że nawet nie lamentują, tylko pozałamywali ręce i patrzą na wodę jak posągi. Jest stary Żyd, patryarcha — nędzarz, stara Żydówka, młody Żyd, kolosalna bestya jak Machabeusz, młoda dziewczyna, piegowata trochę, ale z ogromnym charakterem w rysunku nosa i ust, wreszcie dwoje Żydziąt. Wieczór zapada; rzeka ma miedziane refleksy — poprostu cudne. Drzewa na Saskiej Kępie całe w zorzy, dalej na

Kępie szeroko rozlana woda, tony czerwone, tony ultra-maryny, tony prawie stalowe, to znów przechodzące w purpurę i fiolet. Perspektywa powietrzna — rozkosz! przejście od jednych tonów do drugich takie niepochwytne a cudne, że aż dusza piszczy — naokół cicho, świetlisto, spokojnie. Melancholia nad wszystkiem, że się chce wyć — i ta grupa w smutku, siedząca tak, jakby wszyscy od małego pozowali w pracowniach...

Odrazu mi w głowie zaświtało: oto mój obraz!

Miałem ze sobą szkatułkę i farby, bo bez tego nie chodzę i odrazu zacząłem szkicować, a przedtem jeszcze powiadam do Żydów:

— Siedźcie tak, ani się ruszcie! — rubla każdemu nim się zmroczy.

Moje Żydy w lot zrozumieli o co chodzi i jak w ziemię wrośli. Szkicuję, szkicuję! Andrusy powyłazili z wody i wkrótce słyszę za sobą:

— Maljarz! maljarz, co ukradł, to pada, że znaljazł!

Ale odezwałem się do nich ich językiem i odrazum ich sobie pozyskał, przestali nawet ciskać wiórami na Żydów, żeby mi nie psuć roboty.

Za to moja grupa wpadła niespodzianie w dobry humor.

— Żydy, — krzyczę: — smućcie się! — a starka odpowiada:

— Z przeproszenim pana malarza, czego się mamy smucić, kiedy pan obiecał nam po rublu? niech się ten smuci, co zarobek nie ma!

Musiałem im zagrozić, że nie zapłacę.

Szkicowałem jednak przez dwa wieczory, potem pozowali mi parę miesięcy w pracowni. Niech Światecki mówi co chce, obraz jest dobry, bo zupełnie nie zimny; jest w nim szczera prawda i ogromnie dużo natury. Zostawiłem nawet piegi młodej żydówki. Twarze mogłyby być piękniejsze, ale nie mogą być prawdziwsze i mieć więcej charakteru.

Takem o tym obrazie myślał, żem łatwiej przeniósł stratę Kazi. To też, gdy mi ją Światecki przypomniał, zdawało mi się, że to już ogromnie dawno było. Tymczasem Światecki naciągał drugi bót, a ja zacząłem nastawiać samowar.

Przyszła stara Antoniowa z bułkami, którą Światecki napróżno od roku namawia, żeby się powiesiła, – i zasiedliśmy do herbaty.

— Z czegoś ty dziś taki rad? — pyta mnie opryskliwie Światecki.

— Bo ja wiem! obaczysz, że nas spotka coś nadzwyczajnego.

W tej chwili słyszymy trzeszczenie schodów prowadzących do pracowni.

— Gospodarz! masz twoję nadzwyczajność! — mówi Światecki.

To rzekłszy, dopija herbatę tak gorącą, że aż mu łzy w oczach stają, zrywa się, a ponieważ kuchenka nasza jest przechodnia, więc chowa się w pracowni za kostiumy i woła ze swej kryjówki zdyszanym głosem:

— Mój ty! on cię ogromnie lubi, rozmów się z nim!...

— On przepada za tobą! — odpowiadam, lecąc do kostiumów – rozmów się ty!

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi kto? — nie gospodarz, ale stróż tego domu, w którym mieszkają Susłowscy.

Wypadamy z za kostiumów.

— List dla pana przyniósem mówi stróż.

Biorę list... Na Hermesa! od Kazi! Rozrywam kopertę i czytam co następuje:

„Mam pewność, że rodzice nam przebaczą. Przyjdź pan natychmiast, bez względu na wczesną godzinę. Dopiero co wróciliśmy z wód, z ogrodu. *K.*“

Nie mam wprawdzie pewności, co mianowicie rodzice mają mi przebaczać, ale nie mam też

i czasu myśleć o tem, bo tracę głowę ze zdziwienia...

Dopiero po chwili podaję list Świateckiemu i powiadam do stróża:

— Przyjacielu! powiedz panience, że natychmiast przychodzę... Czekaj... Nie mam drobnych, ale masz tu trzy ruble (ostatnie!) zmień, weź sobie rubla, a mnie odnieś resztę.

Mówiąc nawiasem, potwór wziąwszy trzy ruble, nie pokazał się więcej. Wiedział wyrodek, że nie zrobię awantury w domu Susłowskich i wyzyskał położenie najbezecniej. Ale wówczas nie zauważyłem tego nawet.

— No, cóż? — pytam Świateckiego.

— Nic! każde cielę znajdzie rzeźnika.

Pośpiech, z którym się ubierałem, nie pozwolił mi wynaleść odpowiednej i stosownej dla Świateckiego obelgi.

II.

W kwadrans później dzwonię do Susłowskich.

Otwiera mi sama Kazia. Jest śliczna... Ma w sobie jeszcze ciepło snu i świeżość poranku, którą przyniosła z ogrodu w fałdach swojej perkalowej sukni koloru blado-niebieskiego. Kapelusz, który zdjęła, rozrzucił trochę jej włosy.

Twarz jej śmieje się, oczy śmieją się, wilgotne usta śmieją się... Istny poranek. Chwytam ją za ręce i poczynam je całować aż do łokci, ona zaś pochyla mi się do ucha i pyta:

— A kto lepiej kocha?

Następnie prowadzi mnie za rękę przed oblicze rodziców. Stary Susłowski ma minę Rzymianina, ofiarującego na śmierć *pro patria* jedyne dziecko; matka roni łzy w kawę, bo oboje siedzą przy kawie. Ale wstają na nasz widok i papa Susłowski przemawia:

— Rozum i obowiązek kazałyby mi powiedzieć: nie! — ale serce rodzicielskie ma swoje prawa — jeśli to jest słabość, niech mnie za nią Bóg sądzi!

Tu podnosi oczy na dowód, że gotów jest odpowiadać w razie, jeśli trybunał niebieski rozpocznie natychmiast spisywanie protokółu. Nie widziałem w życiu nic bardziej rzymskiego, prócz salami i makaronu sprzedawanego na Corso. Chwila jest tak uroczystą, że hipopotam pękłby ze wzruszenia. Uroczystość jej podnosi jeszcze pani Susłowska, rozkładając ręce i mówiąc łzawym głosem:

— Moje dzieci! jeśli wam kiedykolwiek będzie źle na świecie, schrońcie się tu — tu!

To mówiąc, ukazuje na łono.

Niema głupich! Nie mnie brać na chronienie się tam, tam!... Gdyby tak Kazia ofiarowała mi tam przytułek, to co innego. Z tem wszystkiem jestem zdziwiony poczciwością Susłowskich i serce mam przepełnione wdzięcznością.

Ze wzruszenia wypijam tyle szklanek kawy, że aż Susłowski zaczyna rzucać niespokojne spojrzenia na maszynkę i śmietankę. Kazik dolewa mi ciągle, ja zaś staram się w tym samym czasie przycisnąć jej nóżkę pod obrusem. Ale ona cofa ją ciągle, trzęsąc przytem nieznacznie głową i uśmiechając się tak szelmowsko, że nie wiem, jakim sposobem nie wyskoczyłem ze skóry.

Siedzę z półtory godziny, ale nakoniec muszę pyrgać, bo w pracowni czeka na mnie Bobuś, który bierze ode mnie lekcye rysunku i zostawia mi za każdym razem bilet z herbową pieczątką; zresztą, najczęściej gubię te bilety. Kazia i matka odprowadzają mię do przedpokoju, o co zły jestem, bo chciałem żeby Kazia odprowadzała mnie sama. Jakie ona ma usta!...

Droga wypada mi przez ogród. Pełno ludzi wraca jeszcze z wód... Po drodze uważam że wszyscy zatrzymują się na mój widok. Słyszę naokoło szepty: „Magórski! Magórski! to on...“

Panny, poubierane w perkale wszystkich odcieni, pod któremi cudownie rysują się ich kształty, rzucają mi takie spojrzenia, jakby chciały mówić: „wejdź! przybytek gotów!“ Co u dyabła, czy ja jestem taki sławny czy co! — nic nie rozumiem.

Idę dalej — ciągle to samo... W sieni przy schodach wpadam na gospodarza, jak statek na skałę. Oj! komorne!

Tymczasem gospodarz zbliża się i mówi:

— Mój panie! choć ja się tam czasem naprzykrzam, ale wierzaj mi pan, że dla pana mam tyle... ot, pozwól pan poprostu!

To rzekłszy, łapie mnie za szyję i ściska. Ha, rozumiem. Musiał mu Światecki powiedzieć, że się żenię, a on myśli, że odtąd będę regularnie płacił komorne. Niech myśli...

Grzmię na górę. Po drodze słyszę już gwar u nas. Wpadam. W pracowni ciemno od dymu. Jest Julek Rzysiński, Wach Poterkiewicz, Franek Cepkowski, stary Słudecki, Karmiński, Wojtek Michalak, wszyscy zabawiają się puszczaniem eleganckiego Bobusia w pocztę, ale ujrzawszy mnie, puszczają go ledwie żywego na środku pracowni, natomiast zaś podnoszą nieludzki wrzask:

— Winszujemy! winszujemy! winszujemy!...

— W górę go!

W jednej chwili jestem porwany na ręce i przez czas jakiś podrzucają mnie, wrzeszcząc przytem w sposób godny stada wyjców; nakoniec znajduję się na ziemi, dziękuję im jak mogę i zapowiadam, że wszyscy muszą być na mojem weselu, głównie zaś Świątecki, którego zgóry zamawiam sobie na drużbę...

Tymczasem Świątecki podnosi ręce i mówi:

— Ten mydłek myśli, że mu małżeństwa winszujemy.

— A czegoż mi winszujecie?

— Jakto? nic nie wiesz? — pytają wszystkie głosy.

— Nic nie wiem, czego u kaduka chcecie?

— Dajcie mu „Latawca!“ poranny numer „Latawca!“ — krzyczy Wach Poterkiewicz.

Dają mi więc poranny numer „Latawca“, wołając jeden przez drugiego: „patrz w depeszach!“

Patrzę w depeszach i czytam co następuje:

„Telegram własny „Latawca“. Obraz Magórskiego „Żydzi nad rzekami Babilonu“ otrzymał wielki złoty medal w tegorocznym Salonie. Krytyka nie znajduje dość słów dla genjuszu mistrza. Albert Wolff nazwał obraz rewelacyą. Bar. Hirsz ofiaruje 15,000 franków.“

Słabo mi! ratujcie! Głupieję do tego stopnia,

że nie umiem słowa przemówić. Wiedziałem, że obraz mi się udał, ale o takiem powodzeniu anim marzył...

Numer „Latawca“ wypada mi z ręki.

Podnoszą go i czytają mi jeszcze w wiadomościach bieżących następne komentarze do depeszy:

Wiadomość I-sza. Dowiadujemy się z własnych ust mistrza, że obraz swój zamierza wystawić w naszym syrenim grodzie.

Wiadomość II ga. Na zapytanie wiceprezesa komitetu T. Z. Sz. P., wystosowane do naszego mistrza, czy zamierza arcydzieło swe wystawić w Warszawie, mistrz odpowiedział: „wolałbym go nie sprzedać w Paryżu, niż nie wystawić w Warszawie!“ Mamy nadzieję, że słowa te nasi potomni będą czytać (daj Boże jaknajpóźniej) na grobie mistrza.

Wiadomość III-cia. Matka naszego mistrza po otrzymaniu depeszy z Paryża ciężko zaniemogła ze wzruszenia.

Wiadomość IV-ta. Dowiadujemy się w chwili oddania numeru pod prasę, że matka naszego mistrza ma się lepiej.

Wiadomość V-ta. Mistrz nasz otrzymał wezwania o wystawienie obrazu ze wszystkich stolic europejskich.

Pod nadmiarem tych potwornych kłamstw przychodzę nieco do siebie. Ostrzyński, redaktor „Latawca“, a zarazem eks-konkurent do Kazi, chyba oszalał, bo to już przechodzi wszelką miarę. Naturalnie, że obraz przedewszystkiem wystawię w Warszawie, ale I-mo nikomum jeszcze o tem nie mówił; II-o wice-prezes Tow. zach. szt. pięk. o nic mnie nie pytał; III-o nic mu nie odpowiedziałem; IV-o matka moja umarła przed dziewięciu laty; V-o nie dostałem znikąd wezwania o wystawienie obrazu.

Co gorzej: w jednej chwili przychodzi mi na myśl, że jeśli depesza jest tak prawdziwą jak pięć wiadomości, to bywaj zdrów... Ostrzyński, który pół roku temu, mimo iż rodzice byli za nim, dostał kosza od Kazi, może umyślnie chciał mnie wystrychnąć na dudka, ale w takim razie „przypłaci mi to głową, albo czemśkolwiek takiem!“ jak mówi libreto pewnej opery. Koledzy jednak uspakajają mnie, że wiadomości mógł Ostrzyński pofabrykować, ale depesza musi być prawdziwą.

Jednocześnie też nadchodzi Stach Kłosowicz z porannym numerem „Bieguna“. Depesza jest i w „Biegunie“. Oddycham.

Zaczynają się teraz poszczególne powinszowania.

Stary Słudecki, fałszywa sztuka do gruntu, a słodka jak syrop, potrząsa moją ręką i mówi:

— Boże kochany! zawsze wierzyłem w genjusz kolegi i zawsze broniłem kolegę... (wiem, że nazywał mnie osłem...) ale... Boże kochany... może kolega sobie nie życzy, żeby taki *fa-presto,* jak ja, nazywał kolegę kolegą, w takim razie niech kolega wybaczy dawnemu przyzwyczajeniu, Boże kochany...

Życzę mu w duszy żeby wisiał, ale nie mogę mu odpowiedzieć, bo w tej chwili odciąga mnie na bok Karmiński i mówi zcicha, ale tak, żeby go słyszano:

— Może kolega potrzebuje pieniędzy, to niech kolega powie, a ja tego...

Karmiński znany jest między nami ze swej uczynności. Raz wraz mówi któremuś z nas: „jeżeli kolega potrzebuje pomocy, to niech kolega powie, a tego — do widzenia!" A naprawdę ma pieniądze. Odpowiadam mu, że jak nie znajdę gdzieindziej, to się do niego udam. Tymczasem przychodzą inni, szczere chłopaki jak złoto i ściskają mnie, aż mnie boki bolą. Zbliża się nakoniec Światecki, widzę że jest wzruszony, ale ukrywa to i mówi szorstko:

— Choć widzę że zżydziejesz, ale ci winszuję!

— Choć widzę, że głupiejesz, ale ci dziękuję, — odpowiadam mu i ściskamy się z całej siły. Wach Poterkiewicz wspomina coś, że mu wyschło w gardle. Ja nie mam ani grosza, ale Światecki ma dwa ruble, inni mają także. Następuje składka i poncz... Piją moje zdrowie, podrzucają mnie znów w górę, a że im powiadam, że z Susłowskimi sprawa naprawiona, więc piją i zdrowie Kazi. Wtem Światecki przychodzi do mnie i mówi:

— Czy myślisz, młody idyoto, że oni nie czytali przedtem depeszy, nim panna do ciebie napisała?

Oj! malwa! jakbym pałką w głowę dostał. Z jednej strony widnokrąg mi się rozjaśnia, z drugiej djablo ściemnia. Po Susłowskich można się wszystkiego spodziewać, ale żeby Kazik był zdolny do takiego wyrachowania!

Bardzo jest jednak prawdopodobne, że rano na wodach przeczytali depeszę i zaraz mnie wezwano.

W pierwszej chwili chcę lecieć do Susłowskich i stanąć im do oczu.

Ale nie mogę opuścić kompanji... Nadchodzi przytem Ostrzyński, elegancki, zimny, pewny sie-

bie, urękawiczniony jak zwykle. Spryt od niego bije jak łuna, bo to wyga kuty na cztery nogi.

Od progu już poczyna machać protekcyonalnie laską i mówi:

— Winszuję mistrzu, i ja winszuję.

To „ja“ wymawia z przyciskiem, jak gdyby powinszowanie od niego znaczyło więcej niż jakiekolwiek inne.

Być może zresztą, że tak jest...

— Coś ty nazmyślał! — wołam — jak mnie tu widzisz, tak dopiero z „Latawca“ dowiedziałem się o wszystkiem

— Cóż mnie to może obchodzić? — powiada Ostrzyński.

— O wystawieniu obrazu nic także nie mówiłem.

— Ale teraz mówisz — powiada z flegmą Ostrzyński.

— I on matki niema i matka jego nie zasłabła! — woła Wojtek Michalak.

— Mało mnie to obchodzi, — powtarza z godnością Ostrzyński, zdejmując drugą rękawiczkę.

— Ale depesza prawdziwa?

— Prawdziwa.

Zapewnienie to uspakaja mnie zupełnie. Przez wdzięczność nalewam mu ponczu. On przytyka

usta do brzegu szklanki, wypija łyk, a następnie mówi:

— Naprzód twoje zdrowie, a drugi haust wypiję wiesz za czyje?... winszuję ci podwójnie.

— Zkąd wiesz?

Ostrzyński rusza ramionami.

— Bo przecie Susłowski był dziś przed ósmą w redakcyi.

Światecki poczyna coś mruczeć o ludziach podłych w ogólności, ja nie mogę dłużej wytrzymać i porywam za kapelusz. Ostrzyński wychodzi ze mną, ale zostawiam go po drodze i po paru minutach dzwonię po raz drugi do Susłowskich. Otwiera mi znów Kazia, rodziców niema w domu.

— Kazik! — mówię surowo — wiedziałaś o depeszy?

— Wiedziałam — odpowiada spokojnie.

— A, Kazik!

— Cóż chcesz mój drogi. Rodzicom się nie dziw... Przecie oni muszą mieć jakiś powód rozsądny, dla którego zgadzają się na ciebie.

— Ale ty Kaziu?

— A ja skorzystałam z pierwszej sposobności... czy to mi masz za złe Władku?

W oczach mi się rozjaśnia i zdaje mi się, że

Kazia ma zupełną słuszność. Właściwie mówiąc, czegom ja tu przyleciał jak waryat? Tymczasem Kazik zbliża się i opiera główkę o moje ramię; ja obejmuję ją wpół, ona przechyla mi przez ramię twarzyczkę, zamyka oczy, wysuwa swój różowy dzióbek i szepce:

— Nie, nie Władku!... nie teraz... po ślubie... proszę cię!

Wskutek tej prośby przyciskam ustami jej dzióbek i pozostajemy tak, póki nam proces oddychania pozwala. Oczy Kazi robią się omdlałe... Wreszcie zasłania je i mówi:

— A takem cię prosiła, żeby nie...

Wymówka i spojrzenie zpod ręki rozczulają mnie do tego stopnia, że całuję ją po raz drugi. Gdy się kogoś kocha, ma się naturalnie większą ochotę całować go, niż naprzykład bić... A ja kocham Kazię bez miary i pamięci, za życia do śmierci, po śmierci! Ona, albo żadna, i basta!

Kazia wyraża zdyszanym głosem obawę, że stracę dla niej szacunek. Najdroższe stworzenie! jakie ona głupstwa plecie! Uspakajam ją, jak mogę i poczynamy mówić rozsądnie.

Staje między nami umowa, iż jeśli państwo Susłowscy będą udawali, że o depeszy dowiedzieli się później, to nie dam im poznać, że wiem

jak rzeczy stoją — poczem żegnam Kazika, obiecawszy jej, że przyjdę wieczorem.

Jakoż muszę lecieć do kancelaryi Tow. zach. sztuk pięknych; przez nią najłatwiej mi będzie porozumieć się z sekretaryatem Salonu.

III.

Posyłam depeszę z oświadczeniem, że zgadzam się na cenę barona Hirsza, ale że przedtem postanawiam wystawić obraz w Warszawie etc.

Na wysłanie depeszy, oraz na inne potrzeby pożyczam pieniędzy w zarządzie. Dają mi bez wahania. Wszystko idzie jak po maśle...

W „Latawcu“ i „Biegunie“ wychodzą moje biografje, w których zresztą niema słowa prawdy, ale jak mówi Ostrzyński: „cóż to mnie może obchodzić?“ Otrzymałem także wezwanie od dwóch ilustracyj. Chcą pomieścić moje portrety i reprodukcye mego obrazu. Dobrze!

Monety będzie jak wody.

IV.

W tydzień później odbieram zadatek od barona Hirsza.

Całość będzie wypłacona, kiedy nabywca wejdzie w posiadanie płótna, tymczasem bank han-

dlowy pali mi na stół pięć tysięcy franków w samych ludwikach. Jak żyję nie widziałem tyle pieniędzy. Wracam obładowany jak muł...

W pracowni zebranie. Rozrzucam moje ludwiki po podłodze, a że nigdy dotąd nie tarzałem się w złocie, więc poczynam się tarzać w złocie. Po mnie tarza się Świątecki... Nadchodzi gospodarz i myśli, że dostaliśmy pomieszania zmysłów... Bawimy się kannibalsko!

V.

Ostrzyński powiada mi któregoś dnia, iż czuje się szczęśliwy, że dostał kosza od Kazi, bo otwierają się przed nim widoki, o których nie mogę mieć najmniejszego wyobrażenia.

Bardzom z tego rad, a raczej jest mi to wszystko jedno; wierzę przytem, że Ostrzyński da sobie rady w życiu.

Gdy się starał o Kazię, rodzice jej byli za nim, a zwłaszcza ojciec Susłowski. Ostrzyński miał nawet nad nim zupełną przewagę, posuniętą do tego stopnia, że ten Rzymianin tracił wobec niego swą posągowość. Kazia natomiast niecierpiała go od pierwszej chwili poznania. Był to jakiś bezwiedny wstręt, bo zresztą jestem zupełnie pe-

wien, że nie raził jej tem, czem zraża mnie i wszystkich znających dokładniej tę naturę.

Jestto dziwny człowiek, a raczej dziwny literat.

Są zapewne nietylko u nas, ale we wszystkich większych ogniskach literatury i sztuki ludzie, o których myśląc, pytamy się mimowoli, zkąd bierze się ich powaga.

Do takich należy mój przyjaciel z „Latawca". Ktoby uwierzył, że tajemnicą znaczenia Ostrzyńskiego i racyą jego umysłowego bytu jest to, że Ostrzyński nie lubi i nie szanuje talentów, zwłaszcza pisarskich -- i że poprostu żyje z lekceważenia ich... Ma on dla nich pogardę człowieka, któremu poprawność życiowa, pewna doraźna bystrość i wielki spryt zapewniają w życiu towarzyskiem ustawiczne nad niemi zwycięstwa.

I trzeba go widzieć na sesyach, na zebraniach artystycznych, literackich, na obiadach jubileuszowych, z jaką pobłażliwą ironią traktuje ludzi, którzy w zakresie twórczości mogą dziesięć razy więcej od niego, jak ich przyciska do muru, jak ich miesza swoją logiką, swoim rozsądkiem, jak im narzuca swą literacką powagę.

Światecki ilekroć wspomni o tem, woła o deskę z łóżka, za pomocą której ma zamiar roztrzaskać głowę Ostrzyńskiego, ale mnie nie dziwi

ta jego przewaga. Ludzie prawdziwie utalentowani bywają częstokroć niezgrabni, nieśmieli, pozbawieni właśnie doraźnej bystrości i równowagi umysłowej... Ale dopiero, gdy prawdziwy talent znajdzie się w samotności sam ze sobą, naraz u ramion wyrastają mu skrzydła, Ostrzyński zaś w tych warunkach chyba idzie spać, bo sobie nie ma absolutnie nic do powiedzenia.

Przyszłość zrobi między tymi ludźmi porządek, ponadaje rangi i wyznaczy każdemu odpowiedne miejsce. Ostrzyński jest nadto sprytny, żeby nie miał o tem wiedzieć, ale w duszy drwi z tego. Dość mu, że w chwili obecnej więcej znaczy i że bardziej się z nim liczą niż z lepszymi od niego.

My, malarze, mniej mu zawadzamy. Robi on jednak czasem reklamę i talentom pisarskim, ale wówczas tylko, gdy wymagają tego interesa „Latawca“ i współzawodnictwo z „Biegunem“. Zresztą, dobry towarzysz i miły człowiek. Mogę powiedzieć, że go lubię, ale...

Niech dyabeł porwie Ostrzyńskiego — dość o nim...

VI.

Doprowadzą mnie do tego, że kiedykolwiek trzasnę drzwiami.

Co za komedya! Od czasu jak mam sławę i pieniądze, Susłowski, wbrew moim własnym przewidywaniom, obchodzi się ze mną poprostu pogardliwie. On, żona, wszyscy krewni i krewne Kazi traktują mnie lodowato.

Pierwszego wieczora Susłowski oświadczył, iż jeśli sądzę, że moja nowa pozycya wpłynęła na ich postępowanie, albo, jeśli przypuszczam — jak to zresztą widać po mnie — że im robię łaskę, to jakkolwiek oni są gotowi poświęcić dużo dla szczęścia dziecka, jednak nawet i to jedyne dziecko nie może wymagać od nich, żeby poświęcili swą ludzką godność. Matka dodała, iż dziecko wiedziałoby, gdzie w takim razie szukać schronienia. Poczciwa Kazia występuje w mojej obronie, czasem bardzo opryskliwie, ale oni czyhają na każde moje słowo.

Ledwie usta otworzę, Susłowski zagryza wargi, spogląda na żonę i kiwa, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem, że się na tem skończy!“ Taką piłę urządzają mi od rana do wieczora.

I pomyśleć, że to wszystko hipokryzya, że to ma służyć właśnie do zatrzymania mnie w sieci, że w gruncie rzeczy pieją do moich piętnastu tysięcy franków i że jest im tak samo pilno jak i mnie, chociaż powody nasze są odmienne.

Czas skończyć.

Doprowadzili mnie do tego, że zdaje mi się, iż istotnie popełniłem jakąś podłość, dostawszy złoty medal i piętnaście tysięcy franków za obraz.

VII.

Nadchodzi dzień moich zaręczyn.

Kupiłem śliczny pierścionek w stylu Louis XV, który się nie podobał Susłowskim, a nawet i Kazi, bo tam w całym domu nikt nie ma pojęcia o prawdziwej sztuce.

Nad Kazią muszę jeszcze dużo pracować, żeby wyplenić w niej mieszczańskie zamiłowania i nauczyć ją czuć artystycznie; ale ponieważ mnie kocha, więc jestem dobrej myśli.

Na zaręczyny nie prosiłem nikogo, prócz Świateckiego. Chciałem, żeby przedtem był z wizytą u Susłowskich, on wszelako twierdzi, że jakkolwiek jest fizycznym i moralnym bankrutem, jednakże do tego stopnia jeszcze nie spodlał, żeby miał chodzić z wizytami... Niema rady!

Przygotowywam Susłowskich zgóry, że mój przyjaciel jestto wyjątkowy oryginał, ale zresztą genialny malarz i najpoczciwszy człowiek w świecie.

Susłowski dowiedziawszy się, że mój przyjaciel maluje „truposze“, „trupielce“ i „trupięta“,

podnosi brwi, oświadczając, że dotychczas miał do czynienia z ludźmi porządnymi, że cała jego karyera urzędnicza była nieskalaną i że ma nadzieję, iż „pan Światecki“ zechce uszanować zwyczaje, panujące w uczciwym i skromnym domu...

Wyznaję, że pod tym względem nie jestem wolny od obaw i od rana wojuję ze Świateckim. Upiera się, że pójdzie z nogawicami w bótach. Perswaduję, proszę, błagam.

Nareszcie zgadza się, oznajmiając, że ostatecznie nie widzi powodu, dla któregoby nie miał zostać błaznem. Szkoda, że bóty jego przypominają bóty eksploratorów środkowej Afryki, bo czernidło nie postało na nich od chwili, kiedy je przyniesiono na kredyt od szewca. Cóż robić!

Gorzej jeszcze, że głowa Świateckiego wygląda jak tatrzański szczyt, pokryty lasem, połamanym przez trąbę powietrzną. Z tem muszę się pogodzić, bo niema na świecie zgrzebła, któreby tej czuprynie dało radę, ale natomiast zmuszam Świateckiego, żeby zamiast bluzy, w której chodzi codzień, włożył surdut. Czyni to, ale z tem wszystkiem ma minę jednego ze swych truposzów, a jednocześnie wpada w grobowy humor.

Na ulicy ludzie oglądają się na jego sękaty

drąg i olbrzymi obdarty kapelusz, ale do tego jestem przyzwyczajony...

Dzwonimy, wchodzimy.

W przedpokoju już dochodzi mnie głos kuzyna Jaczkowicza, rozprawiającego o przeludnieniu. Kuzyn Jaczkowicz stale rozprawia o przeludnieniu, to jego mądrość. Kazita wygląda w swoich muślinach jak obłoczek i jest śliczną... Susłowski we fraku, krewni we frakach, stare ciotki w jedwabnych sukniach.

Wejście Świateckiego robi wrażenie. Przypatrują nam się z pewnym niepokojem... On spogląda ponuro dokoła i oświadcza Susłowskiemu, że pewnieby się nie naprzykrzał, „gdyby nie to, że Władek się żeni, czy tam coś takiego..."

To „coś takiego" jest przyjęte jaknajfatalniej. Susłowski prostuje się z godnością i pyta, co pan Świątecki rozumie przez „coś takiego..." Pan Świątecki odpowiada, że mu to jest wszystko jedno, ale że „dla Władka" mógłby się nawet uwerniksować, zwłaszcza gdyby wiedział, że panu Susłowskiemu co na tem zależy... Mój przyszły teść spogląda na żonę, na mnie i na Kazię wzrokiem, w którym zdumienie walczy o lepszą ze zgorszeniem.

Szczęściem ratuję położenie i z rzadką u mnie

przytomnością umysłu proszę przyszłego teścia, by mnie przedstawił tym członkom rodziny, których nie znam...

Następuje prezentacya, poczem siadamy.

Kazia siada koło mnie i zostawia swoję rękę w moich. W pokoju pełno jest ludzi, ale wszyscy są sztywni i milczący. Atmosfera jest ciężka.

Kuzynek Jaczkowicz wraca znów do rozmowy o przeludnieniu. Mój Świątecki patrzy pod stół... W ciszy rozlega się coraz donośniej głos Jaczkowicza, który, nie mając przedniego zęba, wszędzie gdzie mu przychodzi wymówić *sz*, wydaje świst przeciągły...

— Najokropniejsze klęski mogą z czasem z tego wyniknąć dla całej Europy—mówi Jaczkowicz.

— Emigracya... wtrąca ktoś z boku.

— Statystyka wykazuje, że emigracya nie zapobiega przeludnieniu.

Nagle Świątecki podnosi głowę i zwraca swe rybie oczy na mówiącego.

— A to trzeba wprowadzić u nas chińskie zwyczaje — odzywa się posępnym basem.

— Za pozwoleniem... jakto, chińskie zwyczaje?

— Bo w Chinach rodzice mają prawo dusić

niedołężne dzieci — to cóż! to trzeba żeby u nas dzieci miały prawo dusić niedołężnych rodziców.

Stało się! Piorun uderzył, kanapa jęknęła pod ciotkami, a ja zginąłem. Susłowski zamyka oczy, traci na jakiś czas mowę.

Milczenie.

Poczem rozlega się drżący ze zgrozy głos mego przyszłego teścia:

— Mój panie, spodziewam się, że jako chrześcianin...

— Dlaczegóż ja mam być chrześcianin?—przerywa Światecki, potrząsając złowrogo głową.

Drugi piorun! Kanapa z ciotkami poczyna dygotać jak w febrze, i leci w przepaść... Ja czuję, że pode mną również ziemia się rozstępuje.

Wszystko stracone, cała nadzieja na nic!

Nagle wybucha dźwięczny jak dzwonek śmiech Kazi, za nim wybucha śmiechem, nie wiedząc dlaczego, Jaczkowicz, za Jaczkowiczem wybucham, także nie wiedząc dlaczego,... ja.

— Tatku! — woła Kazia. — Władzio uprzedził tatka, że pan Światecki oryginał. Pan Światecki żartuje, a ja wiem, że pan Światecki ma matkę i jest dla niej najlepszym synem!

Szelma nie dziewczyna z tej Kazi! nietylko

zmyśla, ale odgaduje, bo Światecki ma rzeczywiście matkę i jest dla niej dobrym synem.

Śmiech jej i powyższe słowa sprawiają pewną dywersyą Jeszcze większą sprawia wejście służącego z winem i ciastkami. Jestto ten sam stróż, który mi zabrał ostatnie trzy ruble, ale teraz ubrano go we frak i występuje przygodnie jako lokaj. Oczy trzyma utkwione w tacę, szkło brzęczy, on zaś posuwa się tak wolno, jakby niósł szklankę pełną wody.

Zaczynam się bać, czy nie spuści wszystkiego na ziemię; na szczęście obawa moja okazuje się płonną...

Po chwili kieliszki są napełnione.

Przystępujemy do aktu zaręczyn...

Małoletnia kuzynka trzyma porcelanowy talerz, na którym leżą dwa pierścionki. Oczy wyłażą jej z głowy z ciekawości, i cała ceremonja sprawia jej tak widoczną rozkosz, że aż podskakuje razem z talerzem i pierścionkami. Susłowski wstaje, wszyscy wstają, słychać łoskot odsuwanych krzeseł.

Nastaje cisza. Słyszę, jak jedna z matron robi szeptem uwagę, że spodziewała się, iż mój pierścionek będzie „porządniejszy...“ Mimo tej uwagi, nastrój jest tak uroczysty, że muchy padają ze ścian...

Susłowski zabiera głos:

— Moje dzieci, przyjmijcie błogosławieństwo rodziców.

Kazia klęka, klękam i ja...

Jaką ten Światecki musi mieć w tej chwili minę, jaką on musi mieć minę!

Ale nie śmiem na niego spojrzeć. Patrzę na muślinową suknię Kazi, która na spłowiałym czerwonym dywanie tworzy bardzo ładną plamę. Ręce Susłowskiego i pani Susłowskiej opierają się na naszych głowach, poczem mój przyszły teść mówi:

— Moja córko! Ty miałaś najlepszy przykład w domu, czem powinna być żona dla męża, więc nie potrzebuję cię uczyć obowiązków, które zresztą mąż ci wskaże (spodziewam się!)... Ale do ciebie zwracam się panie Władysławie...

Tu następuje mówka, w czasie której liczę do stu, a doliczywszy do stu, zaczynam znów od jednego. Susłowski obywatel, Susłowski urzędnik, Susłowski ojciec, Susłowski Rzymianin ma sposobność do okazania całej wielkości swej duszy... Słowa: dziecko, rodzice, obowiązki, przyszłość, błogosławieństwo, ciernie, czyste sumienie — brzmią mi koło uszu jak stado os, obsia-

dają mi głowę, tną mnie w wyżej wzmiankowane uszy, w kark i czub...

Muszę mieć krawat trochę ciasno zawiązany, bo mi się robi duszno. Słyszę płacz pani Susłowskiej, który mnie rozczula, bo to w gruncie poczciwa kobieta, słyszę brzęk pierścionków, trzymanych na talerzu przez podskakującą kuzynkę. Chryste Panie, jaką ten Światecki musi mieć minę!

Wreszcie wstajemy. Kuzynka podsuwa mi talerz pod same oczy. Zamieniamy z Kazią pierścionki...

Uf! jestem zaręczony! Myślę, że to koniec, ale nie, bo Susłowski wzywa nas, byśmy poszli prosić o błogosławieństwo wszystkich ciotek.

Idziemy. Całuję z pięć rąk podobnych do łap bocianich... Wszystkie ciotki spodziewają się, że nie zawiodę ich zaufania.

Jakie u dyabła mogły mieć we mnie zaufanie? Kuzyn Jaczkowicz bierze mnie w objęcia. Stanowczo muszę mieć krawat zamocno zawiązany...

Ale najgorsze przeszło. Mroczy się... Wnoszą herbatę.

Siedzę obok Kazi i ciągle udaję, że nie widzę Świateckiego. Małpa, napędza mi raz jeszcze niepokoju, gdy na pytanie, czy nie doleje do

herbaty nieco araku, odpowiada, że arak pija tylko butelkami... Zresztą wieczór kończy się szczęśliwie.

Wychodzimy. Zaczerpuję pełną piersią powietrza. Istotnie, krawat miałem zaciasno związany.

Idziemy z Świateckim w milczeniu. To milczenie zaczyna mi ciążyć i wkrótce staje mi się nieznośne. Czuję, że wypada zagadać do Świateckiego, powiedzieć mu coś o mojem szczęściu, o tem, jak wszystko ślicznie się odbyło i jak kocham Kazię .. Zbieram się, nie idzie! Nakoniec blisko już pracowni powiadam:

— Przyznaj Światecki, że jednak życie bywa piękne.

Światecki zatrzymuje się, rzuca mi spojrzenie zpode łba i powiada:

— Pudel!

Tego wieczora nie mówiliśmy więcej ze sobą.

VIII.

W tydzień po zaręczynowym wieczorze przyszły moje „Żydy“ na wystawę.

Obraz umieszczono w osobnej sali i zarząd pobiera osobną opłatę za wejście. Połowa czy-

stego dochodu idzie dla mnie... Na wystawie podobno tłok od rana do wieczora.

Byłem raz tylko, ale że patrzono na mnie więcej niż na obraz, nie pójdę więcej, bo poco się mam napróżno złościć

Gdyby obraz mój był arcydziełem, jakiego dotąd nie widziano na świecie, jeszcze publiczność będzie wolała zadowolnić tę ciekawość, na mocy której pójdzie oglądać „Krao“, lub hotentota zjadającego żywe gołębie.

Takim hotentotem jestem w tej chwili ja... Byłbym z tego kontent, gdybym naprawdę był pudlem. Ale zanadto jestem malarzem, żeby nie miało mnie złościć takie poniżenie sztuki wobec modnej osobliwości...

IX.

Przed trzema tygodniami mało kto o mnie wiedział, a teraz zaczynam odbierać dziesiątki listów, po większej części miłosnych. Na pięć, cztery o zakład poczynają się od słów: „Może, przeczytawszy ten list, pogardzisz kobietą, która etc.“ — Nie pogardzę kobietą, pod warunkiem, że kobieta odczepi się od duszy mojej.

Żeby nie Kazia, możebym, prawdę powie-

dziawszy, nie wzruszał tak ramionami nad tym potokiem uczuć.

To mnie głównie oburza, jak się może taka „*nieznajoma*“ spodziewać, że mężczyzna, który jej naprzód nie widział, odpowie na niewidzianego jej wezwaniu. Uchyl naprzód zasłony o pięknа nieznana! a gdy cię zobaczę, wówczas dopiero ci powiem... Oj! nic nie powiem, bo Kazia!...

Odebrałem też anonim od jakiejś siwowłosej przyjaciółki, w którym ja jestem nazwany mistrzem, a Kazia gąską.

„Mistrzu, czy tó żona dla ciebie? (pyta moja siwowłosa przyjaciółka). Czy to wybór godny tego, na którego oczy całego kraju są zwrócone? Jesteś ofiarą intrygi, etc.“.

Dziwne przypuszczenie, a dziwniejsze jeszcze wymaganie, żebym ja się miał żenić nie dla dogodzenia sercu, ale dla oczarowania opinii.

I ta biedna Kazia już im zawadza!

Są zapewne większe zbrodnie od anonimowych listów, ale niema większego... jakby tu ładnie powiedzieć?... Mniejsza o to!

Termin mego ślubu z Kazią jeszcze nieoznaczony, ale to niezadługo nastąpi.

Tymczasem każę się Kazikowi ślicznie ubrać i zaprowadzę ją na wystawę.

malarzy, którym się aż wargi wystrzępiały od gadania, co jest sztuka i jaką powinna być, a jak przyszło wziąć się do pendzla, to nie mogli nic...

Nieraz myślałem, że teoryą sztuki powinni tworzyć filozofowie — i jeśli stworzą głupią — niech za to odpowiadają, a malarze powinni malować, co któremu serce dyktuje — i umieć malować, bo to grunt...

Podług mnie, najmizerniejszy talent wart jest więcej niż najwspanialsza doktryna, a najwspanialsza doktryna nie warta jest swobodzie bótów czyścić.

X.

Byłem z Kazią i Susłowskimi na wystawie.

Przed moim obrazem zawsze tłumy.

Poczęto szeptać, jakeśmy tylko weszli, i tym razem patrzano najwięcej nie na obraz i nie na mnie, ale na Kazię. Kobiety zwłaszcza nie spuszczały z niej oczu. Widziałem, że była bajecznie z tego kontenta, ale nie mam jej tego za złe...

Gorzej, że na truposze Świateckiego powiedziała, że to jest obraz „nieprzyzwoity“. Susłowski oświadczył, że z ust mu to wyjęła, ale ja byłem wściekły. Żeby też Kazia miała taki pogląd na sztukę!

Ze złości pożegnałem ich zaraz i pod pozorem, że muszę się widzieć z Ostrzyńskim, poszedłem naprawdę do Ostrzyńskiego, ale po to, żeby go wyciągnąć na śniadanie.

XI.

Widziałem cud i kwita!

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego człowiek ma oczy.

Corpo di Baccho! co za piękność!

Idziemy z Ostrzyńskim. Nagle patrzę, na rogu Wierzbowej mija nas jakaś kobieta. Staję jak wryty, dębieję, kamienieję, otwieram oczy, tracę przytomność, chwytam bezwiednie Ostrzyńskiego za krawat, rozwiązuję Ostrzyńskiemu krawat — i — ratunku, bo ginę!

Co tam, że ona ma doskonałe rysy... Nic rysy! — ale to jest poprostu pomysł artystyczny! arcydzieło jako rysunek, arcydzieło jako koloryt, arcydzieło jako sentyment. Greuze zmartwychwstałby na jej widok, a następnie powiesiłby się, że takie czupiradła malował.

Patrzę i patrzę... Idzie sama — gdzie tam! idzie z nią poezya, idzie muzyka, idzie wiosna, idzie rozkosz i kochanie. Nie wiem, czybym ją chciał odrazu malować, bo wolałbym klęknąć

przed nią i całować ją po nogach za to, że się taką urodziła. Czy ja wiem zresztą czegobym chciał!...

Mija nas sobie, taka pogodna, jak dzień letni. Ostrzyński kłania jej się, ale ona go nie widzi... Ja budzę się jak z olśnienia i krzyczę:

— Chodźmy za nią!

— Nie, powiada Ostrzyński, czyś zwaryował? Muszę zawiązać krawat. Dajże pokój! to moja znajoma.

— Twoja znajoma? przedstaw mnie!

— Ani myślę... pilnuj swojej narzeczonej.

Ciskam przekleństwo na Ostrzyńskiego i jego potomstwo aż do dziewiątego pokolenia, poczem chcę sam lecieć za nieznajomą.

Na nieszczęście siadła do dorożki.

Zdaleka widzę tylko jej ryżowy kapelusz i czerwoną parasolkę.

— Znasz ją naprawdę? pytam Ostrzyńskiego.

— Ja wszystkich znam!

— Co to za jedna?

— To pani Helena Kołczanowska, z domu Turno, inaczej tak zwana panna-wdowa.

— Dlaczego panna-wdowa?

— Bo jej mąż umarł przy cukrowej kolacyi. Jeśliś już ochłonął, to ci powiem jej historyę.

Był sobie bardzo bogaty, bezdzietny kawaler Kołczanowski de Kołczanowo, szlachcic z Ukrainy. Miał ogromnie zacną rodzinę, która spodziewała się po nim dziedziczyć — i ogromnie krótką szyję, która dodawała tem większej otuchy spadkobiercom. Spadkobierców tych znałem. Byli istotnie zupełnie porządni ludzie, ale cóż chcesz! najporządniejsi, najmniej interesowni z nich nie mogli się wstrzymać od spoglądania na szyję Kołczanowskiego. Tak to wreszcie dokuczyło staremu, że na złość rodzinie oświadczył się o córkę sąsiada, zrobił intercyzę, zapisał jej cały majątek, następnie wziął ślub, po ślubie było wesele, przy końcu wesela cukrowa kolacya, a przy końcu cukrowej kolacyi apopleksya zabiła go na miejscu... W ten sposób pani Helena została panną-wdową — rozumiesz?

— Dawno to było?

Trzy lata temu. Miała wówczas dwudziesty drugi rok... Od tego czasu mogła dwadzieścia dwa razy iść zamąż, ale nie chce... Przypuszczano, że czeka na księcia. Pokazało się, że i to nie, bo niedawno odpaliła księcia. Zresztą wiem dobrze, że tam niema żadnych pretensyj, a najlepszy dowód, że pani Kołczanowska żyje dotychczas w ścisłej przyjaźni z naszą znaną,

sympatyczną, utalentowaną etc. Ewą Adami, z którą kolegowała swego czasu na pensyi.

Usłyszawszy to, ażem podskoczył z radości.

Jeśli tak, to mniejsza o Ostrzyńskiego. Moja kochana, poczciwa Ewusia ułatwi mi poznanie pani Heleny Kołczanowskiej.

— Słuchaj, więc nie wprowadzisz mnie do niej? — pytam Ostrzyńskiego.

— Ostatecznie, jak kto się chce z kimś w mieście poznać, to się pozna — odpowiada Ostrzyński — ale żeś ty mnie odsadził od Kazi, więc nie chcę, by w danym razie powiedziano, żem się przyczynił... Czy ja wreszcie wiem... Bądź zdrów!

XII.

Miałem być tego dnia na obiedzie u Susłowskich, ale napisałem im, że nie będę...

Zęby nie bolały mnie wprawdzie nigdy w życiu, ale mogły mnie przecie rozboleć.

Hela nie schodziła mi z oczu cały dzień, bo wreszcie coby to był za malarz, któryby o takiej twarzy nie rozmyślał?

Namalowałem w duszy z dziesięć jej portretów. Przyszedł mi także pomysł do jednego obrazu, w którym taka twarz, jak Heli, świetneby ro-

biła wrażenie. Trzebaby mi tylko widzieć ją jeszcze z parę razy.

Poleciałem do Ewki Adami, alem jej nie zastał. Wieczorem odebrałem kartkę od Kazi z zaproszeniem na jutro na wody do ogrodu, a następnie na kawę. Prawdziwa piła z temi wodami i z tą kawą!

Nie mogę pójść, bo jak zrana nie zastanę Ewy w domu, to jej cały dzień nie złapię...

Ewa Adami (to jej teatralne nazwisko, naprawdę nazywa się Anna Jedlińska), jest wyjątkową dziewczyną.

Żyję z nią oddawna w przyjaźni i mówimy sobie „ty“...

Będzie już dziewiąty rok, jak weszła do teatru, a pozostała czystą w całem znaczeniu tego słowa. Bo w teatrach znajduje się zapewne dużo kobiet fizycznie niewinnych, ale gdyby gorsety ich chciały kiedy zdradzić wszystkie żądze swych pań, przypuszczam, że najbezczelniejszy pawjan mógłby się zarumienić na wszystkich niepokrytych sierścią miejscach. Teatr psuje dusze, zwłaszcza kobiece.

Trudno nawet wymagać, żeby w kobiecie, która gra co wieczór miłość, wierność, szlachetność i t. p. nie wyrobiło się w końcu instyn-

ktowne poczucie, że te wszystkie cnoty są to rzeczy kinkietowe, należące do sztuki dramatycznej i aktorskiej, a nie mające żadnego związku z życiem.

Ogromna różnica między sztuką a rzeczywistością życia utwierdza je w tem poczuciu; współzawodnictwo i zawiść o oklaski zatruwają szlachetniejsze porywy serca.

Ciągłe zetknięcie z ludźmi tak zepsutymi jak aktorzy rozbudza w nich zmysły. Niema tak białego kota angora, któryby się nie umorusał w podobnych warunkach. Zwyciężyć je może tylko olbrzymi talent, który się oczyszcza w ogniu sztuki, albo natura tak nawskroś estetyczna, że zło nie przesiąka przez nią, jak woda nie przesiąka przez pióra łabędzie. Do takich natur *imperméable* należy Ewa Adami.

Po nocach, przy herbacie i fajce nieraz się rozprawiało z kolegami o ludziach, należących do świata sztuki, począwszy od najwyższej kategoryi, to jest od poetów, a skończywszy na najniższej, to jest na aktorach.

Istota, która ma wyobraźnię rozwiniętą więcej niż zwykły śmiertelnik, istota nad inne wrażliwa, zmysłowa, porywcza, istota, która w zakresie

szczęścia i rozkoszy wie wszystko i pożąda z niesłychaną siłą — oto artysta.

Trzeba mu mieć trzykroć więcej charakteru i woli od innych dla odparcia pokus.

Tymczasem, jak niema powodu, dla któregoby kwiat, piękniejszy nad inne, miał być tem samem odporniejszy na wicher, tak niema powodu, dla któregoby artysta miał mieć więcej charakteru od zwykłego człowieka.

Przeciwnie, istnieje przyczyna, dla której zwykle miewa mniej, bo jego siła życiowa ginie w tej przepaści i w tej rozterce, które dzielą świat sztuki od świata codziennej rzeczywistości.

Jestto poprostu chory ptak, mający ciągłą gorączkę, który czasem niknie z oczu pod chmurami, czasem wlecze zmęczone skrzydła w pyle i kurzawie. Sztuka daje mu wstręt do pyłu i kurzawy, ale życie odbiera mu siłę wzlotu. Ztąd często taki rozbrat między życiem zewnętrznem, a wewnętrznem artystów.

Świat, gdy od nich wymaga więcej niż od innych i gdy ich potępia, może ma słuszność — ale i Chrystus będzie miał słuszność, gdy ich zbawi...

Ostrzyński utrzymuje wprawdzie, że aktorzy o tyle należą do świata artystycznego, o ile na-

leżą do niego puzony, klarnety, waltornie i t. p., ale to nieprawda.

Najlepszy dowód Ewa Adami, która jest nawskroś artystką i przez talent i przez to poczucie artystyczne, co ją tak ustrzegło przed złem, jak matka...

Pomimo całej przyjaźni, jaką mam dla Ewy, nie widziałem jej już dawno, więc obaczywszy mnie, ucieszyła się bardzo, chociaż miała jakąś dziwną minę, z której nie mogłem sobie zdać sprawy.

— Jak się masz Władziu — powiada — przecież cię widzę.

Byłem kontent żem ją zastał.

Miała na sobie szlafroczek turecki w czerwone palmy na śmietankowem tle, z szerokiem *vieil or* obszyciem, i rozciętemi rękawami. Szczególniej obszycie pysznie odbijało od jej bladej cery i fijołkowych oczu. Powiedziałem jej to, była bardzo rada, więc zaraz przystąpiłem do rzeczy.

— Moja złota *divo!* mówię, ty znasz panią Kołczanowską, tę cudną ukrainkę?

— Znam, to moja koleżanka.

— Zaprowadź mnie do niej...

Ewa poczyna trząść główką.

— Moja złota, moja dobra, jak mnie kochasz!

— Nie Władziu! nie zaprowadzę cię...

— Widzisz, jakaś niedobra, a ja raz mało nie zakochałem się w tobie!

Co za mimoza z tej Ewy!

Usłyszawszy to, mieni się, opiera łokcie na stole (cudo, nie łokcie), bierze w dłonie swoją bladą twarz i pyta:

— Kiedy to było?

Pilno mi mówić o Heli, ale że rzeczywiście małom się raz nie zakochał w Ewie, i że obecnie chcę ją wprowadzić w dobry humor, więc zaczynam opowiadanie.

— Było tak... Poszliśmy kiedyś po teatrze do botanicznego ogrodu. Pamiętasz, jaka była noc cudna! Siedzieliśmy na ławce koło basenu — powiedziałaś, że chcesz słuchać słowika. Było mi czegoś smutno, zdjąłem kapelusz, bo mnie głowa bolała, a tyś poszła do basenu, umoczyłaś chustkę w wodzie i położyłaś mi ją wraz z ręką na czole. Wydałaś mi się wtedy poprostu tak dobrą jak anioł i pomyślałem sobie: jeśli wezmę tę rękę i położę na niej usta — to przepadło! to się w tobie zakocham na śmierć...

— I co? pyta cicho Ewa.

— Nagle takeś się szybko odsunęła, jakbyś się czegoś domyślała.

Ewa siedzi czas jakiś w zadumie, poczem budzi się z niej i mówi z nerwowym pośpiechem:

— Nie mówmy o tem, proszę cię...

— Dobrze, nie mówmy o tem... Wiesz Ewo, nadto cię lubię, żebym miał kiedykolwiek się w tobie zakochać. Jedno wyłącza drugie. Od czasu, jakem cię poznał, mam dla ciebie istotne i szczere przywiązanie.

— Ale! — mówi Ewa, — jak gdyby idąc za szlakiem własnych myśli, czy prawda, żeś narzeczony?

— Prawda.

— Czemuś mi o tem nie powiedział?

— Bo to było zerwane i naprawiło się tak niedawno! Ale jeżeli zamierzasz mi powiedzieć, że jako narzeczony nie powinienem się poznawać z panią Helą, to ci zgóry odpowiadam: pierwej byłem malarzem niż narzeczonym. A przecież o nią się nie boisz?

— Tego sobie nie wyobrażaj. Nie wprowadzę cię do niej, bo nie chcę jej na języki ludzkie podawać. Mówią, że od kilku tygodni pół Warszawy się w tobie kocha; opowiadają niestworzone rzeczy o twojem powodzeniu. Nie dawniej jak wczoraj słyszałam dowcip, żeś z dziesięciu bożych przykazań zrobił sobie jedno — wiesz jakie?

— Jakie?

— „Nie będziesz pożądał żony bliźniego twego... nadaremno“...

— Ty Boże, widzisz moją nędzę! ale dowcip dobry.

— I zapewne trafny?

— Słuchaj Ewuś, chcesz wiedzieć całą prawdę? Byłem zawsze nieśmiały, niezgrabny, nie miałem i nie mam powodzenia u kobiet. Ludzie sobie wyobrażają Bóg wie co, a tymczasem ani się domyślasz, ile było prawdy w tym wykrzykniku: Boże, Ty widzisz moją nędzę!

— *Povero maëstro!*

— Daj pokój włoszczyznie... wprowadzisz mnie do pani Kołczanowskiej?

— Mój Władziu, nie mogę... im powszechniej uchodzisz za Don-Żuana, tem mniej wypada, żebym ja, aktorka, wprowadzała cię do kobiety samej i tak zwracającej oczy, jak Hela.

— To czemu ty mnie przyjmujesz?

— Co innego ja! Jestem aktorką i mogę zastosować do siebie słowa Szekspira: „Choćbyś była czystszą od łzy, bielszą od śniegu, nie ujdziesz potwarzy!“

— A wiesz, że można zmysły stracić. Więc każdy może ją znać, może u niej bywać, może

na nią patrzeć, tylko ja nie! I dlaczego? Dla tego, żem wymalował dobry obraz i zyskałem jakiś rozgłos.

— Ze swego stanowiska masz słuszność, — mówi uśmiechając się Ewa. Ani się domyślasz, żem zgóry wiedziała, po coś do mnie przyszedł. Był tu Ostrzyński i namawiał mnie, żebym cię „lepiej“ nie wprowadzała do Heli.

— Ha, rozumiem! i tyś mu przyrzekła?

— Nie przyrzekłam, nawet się rozgniewałam... Myślę jednak, że „lepiej“ cię nie wprowadzać. Mówmy teraz o twoim obrazie.

— Daj mi pokój z obrazem i z malarstwem. Ale kiedy tak, to dobrze! Otóż zapowiadam ci, że w ciągu trzech dni poznam się z panią Kołczanowską, choćbym miał w przebraniu pójść do niej.

— Przebierz się za ogrodnika i zanieś jej bukiet — od Ostrzyńskiego.

Ale mnie przychodzi w tej chwili zgoła inna myśl, która wydaje mi się tak pyszną, że uderzam się w czoło, zapominam o gniewie, o urazie, którą przed chwilą do Ewy czułem i wołam:

— Daj słowo, że mnie nie zdradzisz!

— Daję! — mówi rozciekawiona Ewa.

— Dowiedz się więc, że przebiorę się za dida

lirnika. Cały kostium i lirę mam, na Ukrainie bywałem, pieśni umiem śpiewać... Pani Kołczanowska jest ukrainką, zatem przyjmie mnie z pewnością. — rozumiesz teraz...

— Co za oryginalny pomysł! — mówi Ewa.

Ale nadto jest artystką, żeby ten pomysł nie miał jej się podobać; zresztą, dała słowo, że mnie nie zdradzi — i nie ma nic do zarzucenia

— Co za oryginalny pomysł — powtarza. Hela tak tę swoją Ukrainę kocha, że się chyba rozpłacze, jak tu w Warszawie zobaczy lirnika... Ale co jej powiesz? jak jej wytłómaczysz, zkądeś się wziął, tu, nad Wisłą?

Mimowoli zapał mój udziela się Ewie.

Po niejakim czasie siadamy i zaczynamy w najlepsze spiskować...

Staje między nami układ, że ja się ucharakteryzuję, a Ewka przyjedzie po mnie i zabierze mnie do powozu, żebym zbyt nie ściągał na się ciekawości gapiów; pani Hela nie ma wiedzieć o niczem, póki sama Ewka nie zdradzi z czasem tajemnicy.

Oboje z Ewą bawimy się naszym pomysłem doskonale, następnie ja zaczynam ją całować po rękach, następnie ona zatrzymuje mnie na śniadanie.

Wieczór spędzam u Susłowskich.

Kazia jest trochę chmurna, żem nie był rano, ale ja znoszę jak anioł jej humorek, przyczem myślę o jutrzejszej wyprawie i... o Heli.

XIV.

Godzina jedenasta rano...

Ewy tylko co nie widać.

Mam na sobie zgrzebną koszulę, otwartą na piersiach, świtę nieco podszarpaną, ale porządną, pas, buty, wszystko co potrzeba.

Włosy siwej peruki spadają mi na oczy, i mądry byłby, ktoby poznał, że to jest peruka; moja broda jest arcydziełem cierpliwości. Od ósmej rano wklejałem za pomocą tęgiego karuku białe pasma między moje własne włosy — i zsędziwiałem tak, że i na starość nie zsędziwieję naturalniej... Rozcieńczona sepja dała mi smagłość, a zmarszczki wykonał Światecki poprostu genjalnie. Wyglądam na lat siedmdziesiąt.

Światecki utrzymuje, że zamiast malować, mógłbym zarabiać na chleb jako model, coby było nawet z większą dla sztuki korzyścią.

Godzina wpół do dwunastej... Ewa zajeżdża.

Posyłam węzełek z memi zwykłemi rzeczami do powozu, bo nie wiem, czy mi się nie wypa-

dnie przebrać; następnie biorę lirę, schodzę i przy drzwiczkach wykrzykuję:

— *Sława Bohu!*

Adami jest zdumiona i zachwycona.

— Cudowny pasiecznik! Cudowny did! — powtarza śmiejąc się. Tylko artyście może przyjść coś podobnego do głowy!

Mówiąc nawiasem, sama wygląda jak letni poranek. Ma na sobie sukienkę z surowego jedwabiu i słomiany kapelusz z makami. Nie mogę się jej odpatrzeć. Przyjechała w otwartym powozie, więc ludzie w tej chwili poczynają nas otaczać; ale co ona sobie z tego robi!

Nareszcie powóz rusza; serce zaczyna mi bić żywiej – za kwadrans zobaczę wymarzoną Helę...

Nie ujechaliśmy jeszcze stu kroków, gdy spostrzegam zdaleka idącego naprzeciw Ostrzyńskiego.

Ten musi się wszędy znaleźć!

Ujrzawszy nas staje, kłania się Ewusi, potem zaczyna przypatrywać się bystro nam obojgu, a w szczególności mnie... Nie przypuszczam, żeby mnie poznał, jednak minąwszy go, oglądam się i widzę, że ciągle stoi i odprowadza nas wzrokiem. Dopiero na zakręcie tracimy go z oczu. Powóz posuwa się dość szybko; pomimo tego

wydaje mi się, że podróż trwa wieki. Nakoniec, w alejach Belwederskich stajemy...

Jesteśmy przed domem Heli.

Lecę ku drzwiom, jakby się paliło.

Ewa biegnie za mną, wołając:

— Co za nieznośny dziad!

Służący o postawie bardzo paradnej otwiera nam drzwi, a zarazem otwiera szeroko i oczy na mój widok; Ewa uspokaja jego zdziwienie, mówiąc, że dziadek z nią przyjechał i wchodzimy na górę.

Panna służąca pojawia się na chwilę, oświadcza, że pani się ubiera w przyległym pokoju — i znika.

— Dzień dobry, Helu! woła Ewa.

— Dzień dobry, Ewuś! — odpowiada cudowny, świeży głos — zaraz, zaraz! za chwilę będę gotowa.

— Helu! Ani wiesz co cię czeka i kogo tu zobaczysz... Przywiozłam „dida“, najprawdziwszego „dida-lirnika“, jaki kiedykolwiek chodził po stepach ukraińskich.

Radosny pisk rozlega się w przyległym pokoju, drzwi otwierają się nagle i wpada Hela, nieubrana, w gorsecie, z rozpuszczonemi włosami.

— Did! ślepy did! tu! w Warszawie!

— Nie ślepy! widzi! — woła pospiesznie Ewa, nie chcąc posuwać żartu zadaleko.

Ale jest już zapóźno, bo w tej chwili rzucam się do nóg Heli z okrzykiem:

— *Cheruwyme bożij!*

I obejmuję rękoma jej stopy, a jednocześnie podnosząc oczy, spostrzegam nieco dalszy kształt tych nóżek. Narody klękajcie! ludy przychodźcie z trybularzami. Milońska! zupełna Milońska!

— *Cheruwyme!* powtarzam z niekłamanem uniesieniem.

Mój dziadowski zapał tłómaczy się zresztą tem, że po długiej „*mandriwce*“ spotkałem pierwszą duszę ukraińską. Mimo to Hela wysuwa stopy z moich rąk i cofa się... Przez mgnienie oka widzę jeszcze jej nagie ramiona i szyję, które przypominają mi Psyche z neapolitańskiego muzeum — poczem niknie za drzwiami, ja zaś zostaję, klęcząc na środku pokoju.

Ewuś jednocześnie grozi mi parasolką i śmieje się, chowając swój różowy nosek w bukiet rezedy.

Tymczasem przez drzwi zaczyna się rozmowa w najpiękniejszym dyalekcie, jakim kiedykolwiek mówiono od ujścia Prypeci do Czertomeliku.

Przygotowałem się z góry na wszelkie możliwe pytania, więc kłamię jak z nut... Jestem

„pasiecznik“ z pod Czehryna. Córka moja „pomandrowała“ za laszkiem do Warszawy, a ja stary *tużył taj tużył* na pasiece, póki sam za nią nie „pomandrował“. Dobrzy ludzie *hroszi* dawali za to, że im śpiewał... A teraz co? Ot, ujrzę *detynu miłeńkuju*, pobłogosławię, taj wrócę, bo i za Ukrainą matką tęskno. Tam mi zamrzeć między ulami. Każdy musi umrzeć, a staremu *Fyłypowi* czas oddawna...

Co to jest natura aktorska! Ewuś wie przecie, kto jestem, ale tak się przejmuje moją rolą, że poczyna kiwać melancholicznie swoją śliczną główką i spoglądać na mnie ze współczuciem. Głos Heli z drugiego pokoju drga także wzruszeniem.

Drzwi rozchylają się nieco, białe cudowne ramię ukazuje się przez otwór i niespodzianie znajduję się w posiadaniu trzech rubli, które przyjmuję, bo nie mogę inaczej, a co więcej, zlewam w imieniu wszystkich świętych potok błogosławieństw na głowę Heli.

Przerywa mi służąca, która wchodzi z oznajmieniem, że pan Ostrzyński jest na dole i pyta, czy pani przyjmuje.

— Nie puszczaj go! moja droga! — woła z przestrachem Ewa.

Hela oświadcza, że naturalnie nie przyjmuje. Wyraża nawet swoje zdziwienie z powodu tak rannej wizyty. Ja, co prawda, również nie pojmuję, jak Ostrzyński, który chełpi się i słynie ze znajomości form, mógł przyjść o tej porze.

— Coś w tem jest! — mówi Ewa.

Ale niema czasu na dalsze objaśnienia, bo w tej chwili ukazuje się Hela już ubrana, a jednocześnie dają znać, że śniadanie gotowe.

Obie panie przechodzą do sali jadalnej.

Hela chce mnie koniecznie posadzić u stołu, ale ja się upieram i siadam z moją lirą w progu. Po chwili otrzymuję półmisek tak obładowany jadłem, że po spożyciu tego wszystkiego sześciu dziadów ukraińskich mogłoby dostać niestrawności. Jem jednak, bo jestem głodny i w czasie jedzenia przypatruję się Heli.

Istotnie, piękniejszej głowy niema w żadnej na świecie galeryi! Jak żyję, nie widziałem tak przezroczystych oczu: poprostu widać przez nie wszystkie myśli, tak jak widać dno jasnego strumienia. Oczy te posiadają jeszcze tę własność, że się poczynają śmiać pierwej niż usta, przez co twarz się rozjaśnia, jakby na nią padł promień słońca. Co za nieporównana słodycz w złożeniu ust... Jestto głowa trochę w rodzaju Carla

Dolce, chociaż rysunek oczu i brwi przypomina Sanzia w najszlachetniejszym typie.

Przestaję wreszcie jeść i patrzę, patrzę... patrzyłbym do śmierci.

— Nie byłaś wczoraj u mnie — mówi do Ewy Hela — myślałam, że popołudniu wpadniesz.

— Zrana miałam próbę, a popołudniu chciałam zobaczyć obraz Magórskiego.

— Widziałaś?

— Niedobrze, bo był tłok... a ty?

— Ja byłam zrana. Co za poeta! Chce się płakać razem z tymi żydami.

Ewa spogląda na mnie, a mnie dusza rośnie.

— Pójdę jeszcze ilekroć będę mogła — mówi znów Hela. Wybierzmy się razem, dobrze? Może dziś jeszcze? Taką miałam przyjemność nietylko patrzeć na ten obraz, ale pomyśleć, że to u nas znalazł się taki talent.

I nie uwielbiać tu tej kobiety!

Wtem słyszę dalej:

— Szkoda, że takie dziwne rzeczy opowiadają o tym Magórskim... wyznaję ci, żem umierała z ciekawości poznania go.

— Ach! — mówi niedbale Ewa.

— Ty go znasz? prawda?

— Mogę cię zapewnić, że bardzo traci na

bliższem poznaniu: zarozumiały, próżny, ach jaki próżny!..

Mam taką ochotę pokazać Ewie język, że ledwie mogę wytrzymać, ona zaś zwraca ku mnie swoje szelmowskie fijołkowe oczy, i mówi:

— Jakoś odechciało się wam jeść dziadku?

Pokażę język — nie wytrzymam!

A ona znów do Heli:

-- O tak! Magórskiego bardziej warto podziwiać niż się z nim poznawać. Ostrzyński określa go, że jest to genjusz w ciele „koafera".

Ostrzyńskiemu oberwałbym uszy, gdyby coś podobnego powiedział; o Ewie wiedziałem, że ma licho za kołnierzem, ale doprawdy przebiera miarę.

Na szczęście śniadanie kończy się.

Wychodzimy do ogrodu, w którym mam się popisywać z pieśniami.

Trochę mnie to jednak nuży i wolałbym być u Heli jako malarz, niż jako *did*...

Ale trudna rada!

Siadam pod murem w cieniu kasztanów, przez których liście przenika słońce i tworzy na podłożu mnóstwo jasnych plam. Plamy te drgają, migocą, nikną i świecą znowu, w miarę, jak powiew porusza liście. Ogród jest bardzo głęboki,

więc turkot miejski nie dochodzi prawie wcale, zwłaszcza że głuszy go szum ogrodowej fontanny. Upał jest wielki. Między gęstwiną liści słychać czyrykanie wróbli, ale słabe i jakby senne. Zresztą cisza.

Spostrzegam, że tworzy się zupełnie ładny obraz: ogród, głębia drzew, plamy słoneczne, fontanna, te dwie kobiety o twarzach niepospolicie pięknych, wsparte jedna na drugiej i ja did, siedzący z lirą pod murem, wszystko to ma w sobie jakiś urok, który jako malarz odczuwam.

Zapominam poniekąd o swojej roli i zaczynam śpiewać z przejęciem:

„Każut łude, szczom szczastływa,
Ja z toho smiejusia,
Bo ne znajut, jak ja czasto
Slozami zaljusia!

Neszczastływa rodyłasia,
Neszczastływa zhynu,
Czom ty rodyła mne maty
W takoju hodynu".

Ewa przejmuje się, bo jest artystką, Hela — bo jest ukrainką, a ja — bo obie są tak piękne, że mnie ich widok upaja.

Hela słucha bez żadnej przesady, bez sztucznych uniesień, ale w jej przezroczystych oczach

widzę, że słuchanie sprawia jej istotną i szczerą przyjemność.

Co za różnica od tych ukrainek, które przyjeżdżają do Warszawy na karnawał i w czasie kontredansa piłują tancerzów swoją tęsknotą za Ukrainą, a naprawdę, jak powiada jeden z moich znajomych: hakamiby się nie dała żadna wyciągnąć z Warszawy i karnawału na swoją Ukrainę!

Hela słucha, porusza w takt swą wytworną głową, czasem odzywa się do Ewki: „to znam“ i śpiewa razem ze mną, ja zaś przechodzę sam siebie. Wyrzucam z pamięci i piersi cały zapas stepowego materyału, zacząwszy od *„hetmaniw, łycariw i kozakiw“*, a skończywszy na sokołach, Soniach, Marusiach, stepach, kurhanach i Bóg wie nie czem. Sam się dziwię, zkąd mi się tyle tego nabrało.

Czas przeszedł jak sen.

Wróciłem zmęczony nieco, ale upojony...

XV.

W pracowni zastaję najniespodzianiej państwa Susłowskich i Kazię.

Chcieli mi, zrobić niespodziankę...

Po co ten Światecki powiedział im że, zapewne wkrótce wrócę?

Kazia ani Susłowsy nie poznali mnie... Dowód, jak byłem przebrany! Zbliżam się do Kazi i biorę ją za rękę, ona cofa się cokolwiek przestraszona.

— Kaziu, nie poznajesz mnie? — pytam.

I śmiech mnie porywa na widok jej zdumienia.

— Przecie to Władek — mówi Światecki.

Kazia przypatruje mi się dokładniej, nakoniec poczyna się śmiać, wołając:

— Fe! co za brzydki dziad!

Ja jestem brzydki dziad! Ciekawym gdzie widziała ładniejszego. Ale dla biednej Kazi, wychowanej w zasadach estetycznych papy Susłowskiego, zapewne każdy dziad jest brzydki.

Chronię się do naszej kuchenki i po kilkunastu minutach ukazuję się znów w swej naturalnej postaci.

Kazia i rodzice poczynają wypytywać, co znaczyła ta maskarada.

— Co znaczyła ta maskarada?.. Bardzo prosta rzecz... Oto, widzicie państwo, my malarze oddajemy sobie czasem koleżeńskie usługi i pozujemy jeden drugiemu do obrazów. Oto np. Światecki pozował mi na starego żyda. Nie poznałaś go, Kaziu, w obrazie? Ja teraz pozuję

Cepkowskiemu. Taki między malarzami zwyczaj, zwłaszcza że w Warszawie brak modeli.

— Przyszliśmy ci zrobić niespodziankę — mówi Kazia — przytem jak żyję nie byłam w pracowni. Ach co za nieporządek! Czy to tak u wszystkich malarzy?

— Mniej więcej, mniej więcej!

Pan Susłowski oświadcza, że wolałby znaleźć u mnie nieco więcej porządku i spodziewa się pod tym względem zmian w przyszłości. Mam ochotę rozbić mu na głowie moją lirę. Kazia tymczasem uśmiecha się z kokieteryą i mówi:

— Jest jeden pan malarz — wielkie nic dobrego! u którego będzie inaczej, niech tylko ja wezmę się do roboty... wszystko zostanie porządnie ułożone, ustawione, okurzone...

Tak mówiąc, podnosi do góry swój zadarty nosek, patrzy na festony pajęczyny, zdobiące kąty naszej pracowni — i dodaje:

— Bo to nawet i kupca może zrazić taki nieład... Przychodzi ktoś i odrazu znajduje się jakby na tandecie. Ot naprzykład ta zbroja, strach jaka zardzewiała. A tymczasem: zawołać służącej, kazać jej utłuc trochę cegły — i wszystko zacznie się świecić, jak nowy samowar.

— Jezus Marya! Ona mówi o kupcach i chce

czyścić cegłą moje kolczugi, wydobyte z mogił... Ach Kaziu, Kaziu!

Susłowski uszczęśliwiony, całuje ją w czoło, a Światecki wydaje jakieś złowrogie dźwięki, przypominające chrząkanie dzika.

Kazia grozi mi paluszkiem na nosie i mówi dalej:

— Proszę sobie zapamiętać, że wszystko się zmieni.

Potem zaś kończy.

— A jeśli pewien pan nie przyjdzie dziś do nas na wieczór, to będzie brzydki i nie będą go kochali.

To rzekłszy, zakrywa oczy. Nie mogę powiedzieć, żeby nie było dużo wdzięku w tych jej minkach... Przyrzekam, że przyjdę, i odprowadzam swoją przyszłą rodzinę aż na sam dół...

Wróciwszy, zastaję Świateckiego patrzącego bokiem i z nieufnością na całą paczkę sturublówek, leżącą na stole.

- Co to jest?

— Wiesz co się stało?

— Nie wiem...

- Okradłem jakiegoś człowieka, jak prosty złodziej.

— Jakto?

— Sprzedałem swoje truposze.

— I to są pieniądze?

— Tak... jestem podły lichwiarz.

Ściskam Świateckiego, winszuję mu z całego serca, on zaś poczyna opowiadać, jak się to stało.

— Siedzę po twojem odejściu, aż przychodzi jakiś pan i pyta się, czy to ja jestem Światecki. Ja powiadam: „Ciekawym, dlaczegobym nie miał być Świateckim!“ Tak on powiada: „Widziałem pański obraz i chcę go kupić“. Ja mówię: „To dobrze, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że trzeba być idyotą, żeby taki podły obraz kupować“. On znów na to: „Idyotą — mówi — nie jestem, ale mam fantazyę kupować obrazy malowane przez idyotów“. „Kiedy tak, to dobrze“ — powiadam... Pyta mnie o cenę, ja mówię: „A mnie co do tego?“ „Daję panu tyle a tyle“. „To dobrze! kiedy pan daje, to niech pan daje!“ On dał i poszedł. Zostawił mi kartkę z nazwiskiem Białkowski, doktór medycyny... Jestem podły lichwiarz i basta!

— Niech żyją truposze! Światecki ożeń się...

— Wolałbym się powiesić — mówi Światecki — podłym lichwiarz, nic więcej.

XVI.

Wieczorem jestem u Susłowskich.

Umieściliśmy się oboje z Kazią w saloniku w niszy, w której stoi kozetka.

Pani Susłowska siedzi przy stole oświeconym lampą i szyje coś do wyprawy Kazinej, pan Susłowski czyta z godnością przy tymże stole wieczorny numer „Latawca".

Jest mi jakoś nieswojo — pragnę rozproszyć to usposobienie, przysuwając się bardzo blizko do Kazi.

W saloniku panuje cisza; przerywa ją tylko szept Kazi, którą próbuję objąć, a która odpowiada mi:

— Władziu, papo zobaczy.

Wtem „papo" zabiera głos i poczyna czytać:

„Obraz znanego artysty Świateckiego, p. t. „Ostatnie spotkanie", został nabyły w dniu dzisiejszym przez doktora Białkowskiego za rubli sr. 1.500".

— A tak, powiadam, Światecki sprzedał go dziś rano.

Przyczem staram się znów objąć Kazię i znów słyszę jej szept:

— Papo zobaczy...

Mimowoli oczy moje zwracają się ku panu Susłowskiemu.

Nagle widzę, że twarz mu się mieni; przysłania oczy ręką i pochyla się nad „Latawcem“.

Co u licha on mógł tam takiego znaleźć?

— Ojcze, co ci jest? — pyta pani Susłowska.

On wstaje, postępuje dwa kroki ku nam, poczem zatrzymuje się, przeszywa mnie wzrokiem i załamując ręce, poczyna kiwać głową.

— Co panu jest?

— Oto, jak fałsz i zbrodnia wychodzą zawsze na wierzch, odpowiada patetycznie Susłowski; mój panie, czytaj, jeśli wstyd pozwoli ci doczytać do końca.

To rzekłszy, czyni ruch, jakoby się obwijał w togę i podaje mi „Latawca“. Biorę numer i wzrok mój pada na wiadomość, zatytułowaną: „Lirnik ukraiński“. Mieszam się nieco i poczynam pospiesznie czytać co następuje:

„Przed kilkoma dniami zawitał do naszego grodu rzadki gość w osobie zgrzybiałego lirnika, który obchodzi zamieszkałe u nas rodziny ukraińskie, prosząc o jałmużnę, a dając w zamian pieśni. Powiadają, że starym bardem zajęła się szczególniej nasza znana i sympatyczna artystka E. A., z którą nie dawniej jak dziś rano widziano

go w powozie. W pierwszych dniach pojawienia się dalekiego gościa powstała dziwna wieść, że pod siermięgą lirnika ukrywa się jeden z najznakomitszych naszych malarzy, który w ten sposób, nie zwracając uwagi mężów i opiekunów, znajduje łatwy przystęp do buduarów. Jesteśmy pewni, że wieść ta nie ma żadnéj podstawy, choćby dla tego samego, że nasza *diva* nie zgodziłaby się przecie na ułatwianie tego rodzaju przedsięwzięć. Starzec, według naszych informacyj, przywędrował wprost z Ukrainy. Ma on inteligencyę nieco przyćmioną, ale pamięć doskonałą"...

Piekło!

Susłowski jest tak oburzony, że nie może głosu wydobyć, w końcu jednak wyrzuca z siebie zbytek oburzenia.

— Jaki nowy fałsz, jaki wybieg znajdziesz pan na usprawiedliwienie swego postępowania? Czy nie pana widzieliśmy dziś w tem haniebnem przebraniu? Kto jest tym dziadem?

Ja jestem tym dziadem — odpowiadam — ale nie rozumiem, dlaczego pan znajdujesz to przebranie haniebnem.

W tej chwili Kazia wyrywa mi z ręki „Latawca" i poczyna go czytać, Susłowski zaś ob-

wija się jeszcze szczelniej w togę oburzenia i mówi daléj:

— Więc zaledwieś pan przestąpił próg uczciwego domu, już wnosisz ze sobą zepsucie, więc nie będąc jeszcze mężem tego nieszczęśliwego dziecka, już zdradzasz je w spółce kobiet lekkiej treści, już depcesz jego i nasze zaufanie, już łamiesz poprzysiężone słowo... I dla kogo? Dla teatralnej hetery?!

Tu porywa mnie ostatnia złość...

— Mój panie, mówię, dość tych komunałów. Ta hetera jest więcej wartą od dziesięciu takich fałszywych Katonów jak pan... Pan nie jesteś jeszcze niczem dla mnie i wiedz o tem, że mnie nudzisz! Mam pana dosyć razem z pańskim patosem, razem z pańskim...

Tu braknie mi słów, a zresztą nie potrzebuję ich więcej, gdyż Susłowski otwiera nagle kamizelkę, jakby chciał mówić:

— Uderzaj! nie oszczędzaj — oto pierś moja...

Ale ja ani myślę uderzać, oświadczam tylko, że idę sobie, z obawy, abym jeszcze czegoś więcej panu Susłowskiemu nie powiedział.

I rzeczywiście wychodzę, nie żegnając się z nikim...

Świeży powiew chłodzi moją rozpaloną głowę.

Jest godzina dziewiąta wieczór i noc bardzo pogodna.

Potrzebuję się przejść, żeby ochłonąć do reszty, więc lecę w aleje Belwederskie.

Okna w willi Heli są ciemne. Widocznie niema jej w domu. Sam nie wiem, dlaczego sprawia mi to ogromną przykrość...

Żebym zobaczył choć cień jej na szybie, byłbym się uspokoił, a tak, porywa mnie nanowo złość...

Co ja z tym Ostrzyńskim zrobię przy pierwszem spotkaniu — nie wiem...

Szczęściem nie jest to człowiek, któryby się cofał przed odpowiedzialnością.

Tylko, właściwie mówiąc, o co ja się do niego przyczepię? Artykuł napisany jest z piekielną zręcznością. Wszakże Ostrzyński zaprzecza, żeby dziadem miał być przebrany malarz, staje niby w obronie Ewy, a jednocześnie zdradza całą tajemnicę przed Helą, widocznie stara się skompromitować Ewę w opinii Heli, na mnie wywiera zemstę za Kazię i w dodatku okrywa mnie śmiesznością.

Żeby choć nie był napisał, że mam inteligencyę przyćmioną! Stało się... W oczach Heli jestem

okryty śmiesznością. Ona czytuje przecie „Latawca“.

Aj! co za bigos i co za przykrość dla Ewy! Jak ten Ostrzyński musi tryumfować! Trzeba koniecznie coś przedsięwziąć, ale jeśli wiem co, to niech zostanę reporterem „Latawca“.

Przychodzi mi na myśl, żeby naradzić się z Ewą. Ona dziś gra... Polecę do teatru i zobaczę się z nią po końcu sztuki.

Jeszcze czas...

W pół godziny później jestem w jej garderobie.

Ewa zaraz skończy, tymczasem rozglądam się wkoło...

Teatry nasze nie odznaczają się, jak wiadomo, przepychem urządzeń. Komora o bielonych ścianach, dwa płomyki gazu chwiejące się od przeciągu, lustro, umywalnia, kilka krzeseł w jednym, kącie szezlong, stanowiący prawdopodobnie prywatną własność *divy*, oto jej garderoba... Przed lustrem mnóstwo przyborów tualetowych, filiżanka niedopitej czarnej kawy, puszki z różem i bielidłem, ołówki do brwi, kilka par rękawiczek, zachowujących jeszcze kształt ręki, wśród nich dwa sztuczne warkocze; na bocznej ścianie pęk sukien białych, różowych, ciemnych, lekkich i ciężkich;

na ziemi stoją dwa kosze pełne kobiecych przyborów. Izba zapełniona zapachem oriży i pudru. Co za pstrocizna wszędzie, jak tu wszystko rozrzucone z pośpiechem, ile kolorów, ile odbłysków, ile cienia, ile gry światła z powodu chwiejności gazowych płomieni.

Jest to swego rodzaju obraz, jest w tem charakter... Ostatecznie, niema tu przecie nic więcej jak w zwykłej gotowalni kobiecej, a jednak istnieje coś, co sprawia, że ta izba nie czyni wrażenia gotowalni, ale jakiegoś przybytku, jest jakiś urok, czar... Nad tym nieładem, pstrocizną, pośpiechem, wśród tych odrapanych ścian unosi się tchnienie sztuki.

Słychać grzmot oklasków. Ha! skończyło się... Przez ściany dochodzą mych uszu wrzaski: „Adami! Adami! Upływa kwadrans, a tam jeszcze krzyczą.

Nakoniec wpada Ewa w postaci „Teodory“...

Ma koronę na głowie, podczernione oczy, na policzkach rumieńce z różu. Rozpuszczone jej włosy spadają jak burza na obnażoną szyję i ramiona. Jest zgorączkowaną i wyczerpaną do tego stopnia, że mówi do mnie ledwie dosłyszalnym szeptem: „jak się masz Władziu!“ i zdjąwszy pospiesznie koronę, rzuca się w swojej królewskiej sukni na szezlong. Widocznie słowa nie

może przemówić, bo patrzy na mnie w milczeniu, jak zmęczony ptak... Siadam koło niej, kładę rękę na jej głowie i nie myślę o niczem więcej, prócz o niej...

Widzę w tych podczernionych oczach niezgasły jeszcze płomień uniesienia, widzę na tem czole poprostu stygmat sztuki, widzę, jak ta dziewczyna przynosi na ołtarz tego teatralnego molocha zdrowie, krew, życie, jak oto tchnienia brak w tej chwili w jej piersiach i obejmuje mnie taka litość, taki żal, takie współczucie, że nie wiem, co mam ze sobą zrobić...

Siedzimy tak czas jakiś w milczeniu; wreszcie Ewa ukazuje ręką na numer „Latawca", leżący na tualecie i szepce:

— Jaka przykrość, jaka przykrość!...

Nagle wybucha nerwowym płaczem i poczyna się trząść jak liść...

Wiem dobrze, że płacze ze zmęczenia, nie z powodu „Latawca", że ten artykuł jest błahostką, o której wszyscy jutro zapomną, że cały Ostrzyński nie wart jest jednej łzy Ewy, a jednak serce ściska mi się tem więcej. Chwytam jej dłonie i okrywam je pocałunkami, tulę je, przyciskam do piersi. Serce poczyna mi bić coraz gwałtowniej, dzieje się ze mną coś dziwnego.

Klękam, sam nie wiedząc, co czynię, u kolan Ewy, obłok przesłania mi oczy, nagle porywam ją bez pamięci w ramiona.

— Władziu, Władziu, zlituj się! — szepcze Ewa.

Lecz ja cisnę ją do wzburzonych piersi; nie wiem już o niczem, oszalałem! całuję ją po czole, oczach, ustach i umiem tylko wypowiedzieć jedno słowo:

— Kocham cię! kocham.

Wtem główka Ewy przechyla się w tył, ręce jej oplatają gorączkowo moją szyję i słyszę szept:

— Ja cię oddawna kocham!...

XVII.

Jeśli jest dla mnie droższe w świecie stworzenie od Ewy, to jestem marynowanym śledziem...

Mówią, że my artyści czynimy wszystko pod pierwszem wrażeniem chwili, tymczasem nieprawda! bo pokazuje się, żem ja oddawna kochał Ewę, tylko byłem zarazem takim osłem, żem o tem nie wiedział.

Bóg jeden wie, co się ze mną działo, gdym ją odprowadzał po tym wieczorze do domu. Szliśmy pod rękę, nie mówiąc do siebie nic... Ja tylko przyciskałem ciągle do boku ramię Ewy,

a ona moje. Czułem, że mnie kocha ze wszystkich sił...

Odprowadziłem ją jeszcze na górę i gdyśmy się znaleźli w jej saloniku, stało nam się tak jakoś kłopotliwie, żeśmy nie śmieli sobie w oczy spojrzeć. Dopiero gdy Ewa zakryła twarz rękoma, oderwałem je zlekka i powiadam: „Ewuś, tyś moja? prawda?“ A ona przytuliła się do mnie:

— Tak! tak!...

Taka była śliczna, takie miała oczy senne a zarazem błyszczące, taką jakąś słodką ociężałość w całej postawie, żem się nie mógł od niej oderwać.

Co prawda, to i ona nie mogła się ode mnie oderwać, jakby chciała sobie wynagrodzić długie milczenie i tak długo tajone uczucie.

Wróciłem do domu późno. Światecki jeszcze nie spał... Rysował pod lampą na drzewie dla jednej z ilustracyj.

— Jest tu list dla ciebie — powiada, nie podnosząc oczu od roboty.

Biorę ze stołu list i czuję przez kopertę pierścionek. Dobrze! przyda mi się na jutro. Otwieram list i czytam, co następuje:

„Wiem, że zwrot pierścionka zrobi panu przyemność, bo widocznie do tego zmierzałeś. Co do

Ach! jakiż ja byłem osieł, że mając przy sobie taką kobietę, szukałem szczęścia gdzieindziej, w sferze, w której byłem zupełnie obcy i która dla mnie była obcą...

Co to za natura artystyczna tej Ewki! jest moją narzeczoną, więc przejmuje się zaraz tą rolą i mimowoli trochę gra rolę młodej i szczęśliwej narzeczonej. Ale nie biorę tego za złe kochanemu stworzeniu, które tyle lat było w teatrze.

Po obiedzie jedziemy do Heli Kołczanowskiej.

Z chwilą, jak Ewa może mnie przedstawić jako swego narzeczonego, figiel z dziadem staje się niewinny i nie może wywołać nieporozumień między temi paniami. Jakoż Hela, dowiedziawszy się o tem, przyjmuje nas z otwartemi rękoma i jest uszczęśliwiona szczęściem Ewy. Śmiejemy się jak trójka warjatów z „dida“, z tego, co „did“ musiał wysłuchać o malarzu Magórskim. Wczoraj chciałem zasztyletować Ostrzyńskiego, dziś podziwiam jego spryt...

Hela śmieje się tak, aż jej przezroczyste oczy łzami zachodzą. Mówiąc nawiasem, jest przecudna. Kiedy w końcu wizyty przechyla główkę, nie mogę od niej oczu oderwać i sama Ewa jest pod urokiem do tego stopnia, że potem w ciągu

dnia bezwiednie naśladuje to przechylenie głowy i to spojrzenie...

Umawiamy się, że po powrocie z zagranicy będę malował portret Heli, ale przedtem w Rzymie zrobię moją Ewkę, jeśli tylko potrafię oddać te rysy, tak delikatne, że aż prawie przerafinowane, i tę twarz tak wrażliwą, że każde wzruszenie odbija się w niej, jak chmurka w jasnej wodzie...

Ale potrafię, dlaczegobym nie miał potrafić?

Wieczorny „Latawiec“ ogłasza niestworzone historye o zamówieniach, jakie dostałem.

Dochody moje są obliczane na tysiące.

Może to jest trochę przyczyną, że nazajutrz dostaję list od Kazi, opiewający, że odesłała mi pierścionek pod wpływem gniewu i zazdrości, ale bylem przyszedł i byleśmy padli do nóg rodzicom, rodzice dadzą się jeszcze przebłagać.

Mam dosyć tego padania do nóg i tych przebaczań. Nie odpowiadam wcale. Niech im pada do nóg kto chce, a Kazia niech idzie za Ostrzyńskiego: ja mam swoją Ewę!

Jednakże milczenie moje rzuca widocznie popłoch wśród rodziny Susłowskich, bo w kilka dni później przychodzi tenże sam posłaniec z listem Kazi, ale tym razem do Świateckiego.

Światecki pokazuje mi list... Kazia prosi go, żeby przyszedł na chwilkę rozmowy w sprawie, od której cała jej przyszłość zależy, liczy więc na jego serce, na prawość, którą od pierwszego rzutu oka w nim odgadła i ma nadzieję, że nie odmówi prośbie nieszczęśliwej kobiety. Światecki przeklina, mruczy coś pod nosem o podłych filistrach, o konieczności wywieszania tychże wraz z potomstwem, przy najbliższej okazyi, ale idzie...

Domyślam się, że chcą przez niego wpłynąć na mnie...

XX.

Światecki, który w gruncie rzeczy ma miękkie serce, został widocznie zawojowany.

Przez tydzień zrzędu chodzi do Susłowskich, zaś od trzech dni obchodzi mnie wkoło, spoglądając na mnie z pode łba, zupełnie jak wilk...

Nakoniec pewnego dnia przy herbacie pyta mnie opryskliwie:

— Słuchaj, co ty zamyślasz zrobić z tą dziewczyną?

— Z jaką dziewczyną?

— Z tą Susłowską, czy jak tam?

— Nic nie myślę zrobić z tą Susłowską, czy jak tam...

Następuje chwila milczenia, potem Światecki znów mówi:

— Ona tam po całych dniach beczy, aż patrzeć nie mogę. *.*.

Co to za poczciwa dusza!

W tej chwili i jego głos drga wzruszeniem, ale chrząka jak nosorożec i dodaje:

— Porządny człowiek tak nie postępuje.

— Światecki, zaczynasz mi przypominać papę Susłowskiego!

— Być może... wolę przypominać papę Susłowskiego, niż skrzywdzić jego córkę.

— Proszę cię, odczep się ode mnie.

— Dobrze! mogę cię nawet wcale nie znać...

Na tem kończy się rozmowa i od tej chwili nie gadam ze Świateckim.

Udajemy, że się nie znamy, co jest tem zabawniejsze, że mieszkamy ciągle razem, pijamy rano herbatę razem i żadnemu z nas nie przychodzi na myśl wyprowadzić się z pracowni.

Termin mojego ślubu z Ewą zbliża się...

Za pośrednictwem „Latawca“ cała Warszawa wie już o tem... Wszyscy na nas patrzą, wszyscy podziwiają Ewę. Gdyśmy byli na wystawie, otoczono nas tak, żeśmy się nie mogli przecisnąć.

Moja nieznana przyjaciółka przysyła mi znów

anonim, w którym ostrzega mnie, że Ewa nie jest to żona dla takiego człowieka jak ja...

„Nie wierzę temu, co powiadają o stosunkach panny Adami z panem Ostrzyńskim (pisze moja przyjaciółka) ale ty, mistrzu, potrzebujesz żony, któraby się całkowicie poświęciła dla twej sławy i wielkości, a panna Adami jest sama artystką i będzie zawsze ciągnęła wodę na swój młyn..."

Światecki chodzi ciągle do Susłowskich, ale już chyba jako pocieszyciel, bo przecie i Susłowscy muszą wiedzieć o moich zamiarach

Dostałem dla Ewy nieograniczony urlop od dyrekcyi. Ewa zaczyna się czesać jak wiejska panienka, ubiera się bardzo skromnie i nosi suknie zapięte pod samą szyję. Nader jej z tem do twarzy. Scena w garderobie nie powtórzyła się ani razu. Ewuś nie pozwala! Co najwięcej, mam prawo całować ją po rękach. Niecierpliwi mnie to ogromnie, a pochlebiam sobie, że i ją...

Kocha mnie bez pamięci. Całe dnie spędzamy razem. Zacząłem jej dawać lekcye rysunku.

Przepada za temi lekcyami i za malarstwem wogóle!

XXI.

Zeusie gromowładny, na co ty patrzysz ze szczytu Olimpu.

Dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom.

W wigilię mego ślubu przychodzi do mnie Światecki, trąca mnie łokciem i odwracając w bok swoją rozczochraną głowę, mówi ponuro:

— Władek, wiesz? popełniam zbrodnię.

— Przecie, żeś przemówił! odpowiadam — co za zbrodnię?

Światecki patrzy ciągle w ziemię i mówi jakby do siebie:

— Bo żeby taki pijak jak ja, taki idyota bez talentu, taki bankrut moralny i fizyczny żenił się z taką dziewczyną, jak Kazia, to jest poprostu zbrodnia!

Uszom nie wierzę, ale rzucam się na szyję Świateckiemu, nie zważając na to, że mnie odpycha.

Ślub jego za parę dni...

XXII.

Po kilkomiesięcznym pobycie w Rzymie, otrzymujemy z Ewą wspaniałą kartę, zapraszającą nas na ślub Ostrzyńskiego z p. Heleną Turno, *primo voto* Kołczanowską.

Nie możemy jechać, bo zdrowie Ewy nie pozwala.

Ewa maluje ciągle i robi ogromne postępy.

Ja dostałem medal w Peszcie. Jakiś bogacz chorwacki kupił mój obraz. Zawarłem także stosunki z Goupilem.

XXIII.

W Weronie rodzi mi się syn...

Sama Ewa powiada, że takiego dziecka nigdy nie widziała...

Nadzwyczajny!..

XXIV.

Od kilku miesięcy jesteśmy w Warszawie.

Urządziłem wspaniałą pracownię.

Odwiedzamy dość często Ostrzyńskich.

On sprzedał „Latawca“ i jest obecnie „prezesem Towarzystwa rozdawania kaszy jęczmiennej między robotników, pozbawionych zajęcia“. Nic nie może dać pojęcia o jego wspaniałości i o uznaniu, jakiem jest otoczony. Mnie klepie po ramieniu i mówi do mnie: „no, łaskawco!“ Opiekuje się także talentami literackiemi i przyjmuje we środy.

Ona śliczna zawsze, jak sen...

Dzieci nie mają.

XXV.

Ratunku! bo umrę ze śmiechu...

Przyjechali z Paryża Świateccy. Ona pozuje na żonę artysty ze złotej bohemii; on nosi je-

dwabne koszule, grzywkę i brodę w klin... Wszystko rozumiem! rozumiem, że mogła sobie poradzić z jego zwyczajami, charakterem, ale jak sobie poradziła z jego czupryną, to pozostanie dla mnie wieczną zagadką.

Światecki nie przestał robić „truposzów“, ale maluje także obrazy rodzajowo-sielskie. Ma dużo powodzenia. Robi także i portrety, te jednak mniej mu się udają, bo karnacyą przypominają zawsze „truposze“.

Pytałem go po starej przyjaźni, czy jest szczęśliwy z żoną. Powiedział mi, że nigdy nie marzył o podobnem szczęściu. Wyznaję, że Kazia zawiodła w znaczeniu dodatniem moje oczekiwania.

I ja byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie to, że Ewa zaczyna mi niedomagać i przytem bardzo bywa biedaczka rozdrażniona. Słyszałem raz w nocy, jak płakała. Wiem, co to jest! Tęskni za teatrem. Milczy, ale tęskni...

Zacząłem portret pani Ostrzyńskiej. Poprostu nieporównana kobieta! Wzgląd na Ostrzyńskiego nie powstrzymałby mnie przecie... I gdyby nie to, że ja dotychczas ogromnie Ewę kocham, to nie wiem...

Ale ja ogromnie Ewę kocham — ogromnie!

SACHEM.

W mieście Antylopie położonem nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Texas, spieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tem większe, że od czasu założenia miasta, pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek minstrelli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nietylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki na tem samem miejscu, na którem stoi Antylopa wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężow, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Gründenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indyanie bronili wprawdzie tylko swego „terytoryum“, które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszemi traktatami; ale cóż to mogło ob-

chodzić kolonistów z Berlina, Gründenau i Harmonii? Pewnem jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizacyę; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest, zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Gründenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i wezwawszy na pomoc meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spaloną, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziałki wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalił się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy, otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale toż samo widlaste położenie które zgubiło indyan, podobało się niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gründenau i Harmonii rozpoczęła się emigracya do wideł, w których też w mgnieniu oka na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacya podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych wężów, schwytanych w poblizkim lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa Tagblatty i jedna Montagsrevue. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt „O prawach narodów".

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywem srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Ktoby w późniejszych czasach od-

wiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, tenby w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach, wieczory spędzali w piwiarni „pod Złotem Słońcem“ przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych tych: *mahlzeit! mahlzeit!* tych flegmatycznych: *Nun ja wissen Sie Herr Müller, ist das aber möglich?* tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, możnaby mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub w Monachium, nie zaś na zgliszczach Chiavatty. Ale w mieście wszystko już było *ganz gemüthlich* i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego wieczora ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, powtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada mieściny, przybycie więc trupy hon. M. Dean'a stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr. 2gi programu mówił co następuje: „Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci. Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten „sachem“ mógł obudzać najwyższe zajęcie. Hon M. Dean opowiadał pod „Złotem Słońcem“, iż przed piętnastu laty w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego indyanina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego „sachema“ Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą hon. M. Dean dopiero pod „Złotem Słońcem“ dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavatą — i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na *great atraction* byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy ci

snęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli indyanina, pokazać ostatniego z Czarnych Węzów i powiedzieć: „patrzcie, oto takich w pień wyrznęliśmy przed laty piętnastu“. Ach Herr-Jeh! Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całem też mieście powtarzano bez ustanku: *sachem! sachem!*

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach z twarzami rozciekawionemi i przerażonemi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły maszerowali groźnie sami nie wiedząc dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiaździsta. Powiew z za miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije łuna światła. Ogromne smolne pochodnie zatknięte przed główną bramą palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jestto świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiaździstą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać, lub nie miały

za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na której wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskóremi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrze bufetu z setkami kufli szklannych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkiemi i wkrótce ciemna ruchliwa masa, pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić doń rur gazowych, to natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne zdziwione buzie dziecinne, których oczy omal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolnione i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów przerywanych okrzykami *frisch wasser! frisch bier!* wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Nakoniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztalerzy w palonych butach i staje w dwóch szere-

gach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany, koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jestto tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda *Mathilde* córka piwowara z Opunciagasse zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha czy ją kocha jeszcze. Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale Nr. 1 mija prędko. Nadchodzi Nr. 2. Wyraz sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów bijących się ciągle po twarzach nikt już nie zważa. Wśród ich małpich ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać *Jankee Doodle* a gra posępną aryę Komandora z Don-Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych

Wężów. Ale cóż to? wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić „łaskawych i szanownych gentlemanów, oraz piękne i niemniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowywanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemałe wrażenie — i dziwna rzecz, ciż sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blizko, tuż koło parapetu, zkąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnem utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tem duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? przecież wychował się od małych lat w trupie hon. M. Dean'a, złożonej przeważnie z niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnem. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wywrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni niemcy, także

są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to *business* pozwala. Przedewszystkiem trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać tak dobrze każdy filister jak i ostatni z Czarnych Wężów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach — i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słychać krótki pomruk ciżby: to on! to on! — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indyanin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne — a złowrogie. Wodzi on niemi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzyć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topor i nóż do skalpowania, w ręku tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania ró-

wnowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! to okrzyk Czarnych Wężów. Ci którzy wycinali Chiavattę pamiętają dobrze to straszne wycie — i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy indyanin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!.. pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wicher i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku utkwionym w lampy naftowe błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jestto pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące. „Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny, lub na wielkie łowy wiosenne“. Gdy wracali z wojny zdobiły ich skalpy, gdy wracali z łowów przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć wielkiego ducha.

„Chiavatta była szczęśliwa!“ Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężną. Aż przyszły blade twarze z za mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bladzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak sza-

kale i noże ich zbroczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci".

„I oto niema Chiavatty, bo na jej miejsce biali wznieśli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę". Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz kołysząc się na tym drucie wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza, wódz wył dalej. „Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!.." Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęło się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — on? — sam jeden? zostać, czy uciekać? czy się bronić? — i jak? — Was ist das? was ist das? rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący pod żyrandolem i wzniósł

drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: Rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóżto? Z areny wołają stój! stój!.. Wodza niema! zeskoczył? znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziajany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom mówi błagalnym głosem. *Was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen!*.. Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora? efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów — w Antylopie na zgliszczach Chiavatty. Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle „pod Złotem Słońcem“. Otoczenie, wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

SIELANKA

OBRAZEK LEŚNY

W lesie, w głębokim lesie, na obszernej polance, stała chata gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana z krąglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty stały dwa budynki gospodarskie, zaś przed nią kawał zagrodzonego pola i studnia żórawiana, krzywa, zapadła, z wodą pokrytą zieloną rzęsą.

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie, smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motylów; między słonecznikami patrzyły się czerwone główki maku, około malw okręcał się groch o kwieciu różanem i lila, w dole rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade, bo przygłuszone, i siwemi liśćmi słoneczników i malw od słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych opłotkach, za każdym

powiewem wiatru kołysały się falą błękitne kwiatki lnu; dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci, a na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniła się to jaśniej, to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym, błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cieńkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośnięty dach słomiany; a kiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą falę listków zwiał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu i gruchań i wabienia się i niby próśb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach, wówczas koło chaty zerwał się szum skrzydeł, powietrze zaroiło się wirem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa: słyszałeś zamęt

i szum i warkotanie sterówek. Cały rój wylatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał; to się rozpływał w błękicie, to błysnął pod słońce białemi pióry, to zawisnął nad chatą, zawahał się, zakołysał w powietrzu i wreszcie padał, niby tuman śniegowych płatków, na szary, słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas, w blaskach powietrza, gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe i niby płomyki, lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło za bory, cichł zwolna rozhowor pod strzechą i świegot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, ciszej, senniej, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię; chata, czereśnie i brzozy zacierały się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały mgłą, podnoszącą się z jeziora.

Około polanki bowiem, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednem miejscu i idąc wdal nakształt korytarza, rozszerzał się coraz

bardziej. W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłukiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi kraniec jego prawie że ginął w oddaleniu i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach, wieżyczkę stojącego po drugiej stronie kościółka i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościółkiem horyzont.

Sosny przeglądały się z wysokich, piaszczystych brzegów w jeziorze, niby w zwierciedle, więc, zdało się, drugi las jest w toni; a kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się i w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, niepomarszczonej toni, każda igiełka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko - w nieskończoność. Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboką, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie, za słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

W chacie mieszkał borowy, imieniem Szczepan i córka jego, lat szesnastu dziewczyna, na imię Kasia Była Kasia tem w tej chacie, czem zorza na niebie. Chowała się w niewinności wiel-

kiej i w bojaźni bożej. Nieboszczyk stryjko, który czasu swego z różnych pieców chleb jadał, a na starość był organistą w sąsiednim kościółku, nauczył ją czytać na pobożnej książce, a czego stryjko nie douczył, tego douczyła ustroń leśna. Więc pszczoły nauczyły ją pracować, gołębie: jak być czystą, szare wróble: jak świegotać staremu ojcu wesoło, spokojna fala wyuczyła ją spokoju, pogoda niebieska — ziemskiej pogody, pobożny ranny dzwonek na kościółku — pobożności, a dobroć boża — dobroci ludzkiej.

I ojciec więc, i Kasia, wiedli żywot cichy i byli szczęśliwi, jak tylko w ciszy i ustroni leśnej można być szczęśliwym na świecie.

Raz, w wilię Zielonych Świątek, stary Szczepan przyszedł na południe do domu. Obszedł był kawał lasu, więc przybywał zmęczony, bo wracał z bajorów i kęp wilgotnych. Kasia zastawiła mu obiad, a po obiedzie, dawszy jeść psu i pomywszy misy i garnki, rzekła:

— Tatulu?

— A no?

— Pójdę do boru.

— Idź, idź. Niech cię spotka wilk, albo jaka inna gadzina.

— Pójdę po ziele. Jutro Zielone Świątki, trzeba będzie ziela do kościoła.

— A no!

Kasia naodziała się chustką na głowę — żółtą chustką malowaną w niebieskie kwiatki, i szukając jakiego koszyczka do ziela poczęła śpiewać:

„Oj przyleciał sokoliczek, przyleciał siweńki!"

Stary jął marudzić dobrotliwie:

— Żeby ci się tak chciało robić, jak śpiewać!

Kasia, która wspięła się na palce, by zajrzeć na półkę, odwróciła do ojca głowę, rozśmiała się wesoło i ukazując białe ząbki, śpiewała dalej, jakby się drażniąc:

„Huka w boru, szuka w boru miłej kukaweńki".

— Radabyś i ty sobie sokolika wykukała — mówił dalej stary. — Może tak sokolika od smolarni? Ale to głupstwa są. Śpiewaniem na kawałek chleba nie zarobisz.

A Kasia na to:

„Oj nie hukaj soliku, nie szukaj, nieboże!
Jużci twoja kukaweńka na denku w jeziorze".

— A niech tu tatulo zrobi obrządki — mó-

wiła dalej. — Pod wieczerz wrócę, to jeszcze krowy wydoję. Ale trzeba je przygnać z dąbrowy.

Znalazła koszyk, pocałowała ojca w rękę i wyszła. Tymczasem stary Szczepan poszukał zaczętego więcierza i wyszedłszy przed chatę, usiadł na przyzbie. Tu pozbierał sznurki, wziął iglicę, przymrużył jedno oko i próbował ją nawlec. Chybił na prawo, chybił na lewo, splunął, wreszcie, wycelowawszy dobrze, trafił, nawlókł i począł nizać sieć.

Ale od czasu do czasu spoglądał jeszcze na Kasię. Kasia szła lewym brzegiem jeziora i na wysokim zrębie brzegu widna była, jak na obrazku. Biała jej koszula, czerwona w paski spódniczka i żółta chustka, migały zdala pstro, niby kwiatek. Skwar był, choć wiosna, nieznośny.

Uszedłszy z pół wiorsty od chaty, skręciła w bok i weszła w bór. Godzina była popołudniowa, gorąco na świecie, ale w lesie chłodno. Kasia szła ciągle przed siebie, nagle zatrzymała się, uśmiechnęła i zarumieniła się, jak wiśnia.

Przed nią, na ścieżce, która niknęła w głębi lasu, stał młody, może ośmnastoletni chłopak.

Młody ten chłopak, był to smolarz, ze skraju boru, który szedł właśnie do Szczepanowej chaty.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł smolarz.

— Na wieki wieków.

Kasia zamilkła, tylko oczy tarła ze wstydu, a potem, podniósłszy fartuszek, przysłoniła nim twarz, spoglądając z pod rąbka z uśmiechem w twarz smolarza...

— Kasiu?..

— Co, Jasiu?

— A jest tatulo doma?

— Jest.

Smolarz, nieboże, może i nie o tatula chciał spytać, ale się jakoś zląkł i mimowoli spytał o tatula. Zamilknął więc znowu, czekając: czy Kasia nie ozwie się pierwsza do niego, a Kasia stała tylko i kręciła końce fartuszka, zasromana okrutnie.

Aż wreszcie przemówiła.

— Jasiu?..

— Co, Kasiu?

— A to smolarnia dziś nie dymi?

I ona chciała spytać o co innego.

— Co niema dymić? Smolarnia nigdy nie staje. Zostawiłem przy niej kulawego Franka, ale ty, Kasiu, wykręcasz coś, jak lis, na smolarnię.

— E! bo ja idę po ziele.

— Pójdę z tobą, a jeśli z powrotem nie odpędzisz, to i do chaty.

— Miałabym zaś odpędzać...

— Jeśli nawidzisz, to nie odpędzisz, a jeśli nienawidzisz to odpędzisz. Rzeknij, Kasieńko, słówko: czy mnie nawidzisz?..

— Dolo moja! dolo! — i Kasia przysłoniła twarz rękoma. — Co ja mam rzec! Nawidzę cię, Jasiu; srodzę cię nawidzę – wyszeptała po cichu.

A potem, nim smolarz zdołał jej odpowiedzieć, zawołała, odsłoniwszy zarumienioną twarz i oczy:

— Pójdźmy po ziele, pójdźmy co duchu!

Poszli więc, smolarz i Kasia. Miłość z nich biła promienista, ale te dzieci boże nie śmiały mówić już o niej. Czuły ją tylko, choć same nie wiedziały, co czują. Kłopotliwie im było jakoś, ale błogo. I nigdy im tak cudnie nie śpiewał szumem las nad głowami, nigdy oddech wiatru nie zdał się tak słodki i pieściwy, ani im kiedykolwiek szum boru, szmer wietrzyka, głosy ptaków i owe gwary leśne, nie zdały się taką kapelą anielską, słodką, choć ogromną, jako właśnie w tej chwili, tak kłopotliwej, a pełnej nieświadomego szczęścia.

O święta siło miłości, jakimże ty jesteś dobrym aniołem życia, jakąż różaną zorzą w pomroce, jakąż tęczą na zapłakanych chmurach niedoli!

A tymczasem w boru rozległo się dźwięcznem echem od sosny do sosny szczekanie psa i po chwili przybiegł Burek, który, wymknąwszy się z chaty, gonił tropem za Kasią. Przybiegł zziajany, z radością wielką skoczył ogromnemi łapami na Kasię i na smolarza, a potem spojrzał na jedno i drugie swemi mądremi i łagodnemi oczyma, jakby chciał rzec:

— Widzę, że się kochacie! To dobrze!

I począł kiwać radośnie ogonem, potem puścił się wielkim pędem, zataczając większe i mniejsze koła, wreszcie zatrzymał się, szczeknął raz jeszcze radośnie i ruszył w las, oglądając się od czasu do czasu na chłopaka i dziewczynę.

Kasia przyłożyła rękę do czoła i spojrzawszy w górę, między liście, na jasne słońce, rzekła:

— O dla Boga! A toż już słońce ze dwie godziny po południu, a ziela niema ani kruszyny. Idź ty, Jasiu, w lewo, a ja pójdę w prawo i zbierajmy. Trzeba nam się śpieszyć, na miły Bóg.

Rozłączyli się i poszli w las, ale szli niedaleko od siebie i równolegle, tak, że jedno drugiemu nie schodziło z oczu. Na paproci, jakby na zielonej fali, między sosnami, migała pstra spódniczka i żółta chustka Kasi. Smukła dziewczyna zdawała się płynąć wśród jagodzisk,

mchów i paproci, rzekłbyś: wila jaka, albo rusałka leśna; co chwila schylała się i prostowała znowu i tak dalej i dalej, mijając sosny, szła w bór coraz gęstszy, niby jakie zjawisko leśne.

Czasem, przysłonięta krzakiem leszczyny, lub choiną, znikała smolarzowi z oczu; wtedy ten stawał, przykładał ręce do twarzy i nawoływał wielkim głosem:

— Hoop, hoooop!

Kasia, dosłyszawszy, stawała z uśmiechem i udając, że niby nie widzi smolarza, a szuka, odpowiadała cienkim, srebrzystym głosikiem:

— Jasiu!!

A echo na to:

— Jaaaasiu!

Tymczasem Burek zwietrzył na drzewie wiewiórkę, więc stanął przed pniem, podniół oczy i paszczę w górę i począł szczekać. Wiewiórka, siadłszy na gałęzi, nakryła się figlarnie ogonkiem, podniosła łapki do pyszczka, i trąc nosek, zdawała się grać palcami na nim i żartować sobie z gniewu Burka. Kasia, ujrzawszy to, rozśmiała się dźwięcznym, srebrzystym śmiechem, smolarz za nią i tak też pełno było w lesie gwaru i nawoływań ludzkich — i echa — i śmiechu — i radośnego wesela.

Czasem, chwilami, zapadała cisza, tylko zagadał szumem bór; wietrzyk zabrzęczał w listki paproci, zaskrzypiały stare konary sosny — i cisza!

Wówczas to słychać było wyraźnie miarowe uderzenia dzięcioła: „Kuj-kuj-kuj, ko-wa-lu!“ Zdawało się, że niby ktoś stuka do jakichś drzwi i za chwilę tajemniczy głos leśny zapyta:

— Kto tam?

To znów zaświstała słodkim głosem wiewilga; dudek najeżył złotą koronę na głowie i roztworzywszy, długi jak igła, dziobek, krzyknął: „hu! hu! hu! hup, hup!“ W leszczynach klaskały makolągwy, zielone sikorki wiły się między zielonemi liściami; czasem na wierzchołku sosny załopotała w czarne skrzydła, kryjąca się przed upałem do boru, wrona.

Godzina była popołudniowa, pogoda przejasna, bez chmurki, a nad zieloną kopułą liści rozciągała się błękitna kopuła niebios — ogromna, bezbrzeżna, siwa na krańcach, najbłękitniejsza w środku. Na niebie stało wielkie złote słońce, przestworze było zalane światłem, a powietrze tak jasne i przezroczyste, że najodleglejsze przedmioty występowały z siwiejącej dali, wyraźne oku i zwarte w kształtach, a nie mgliste. Z wysokości nieba dobrotliwy Stwórca ogarniał okiem

całą krainę: na polach kłaniało mu się zboże złocistą falą, szeleścił ciężki kłos pszeniczny, cienkie źdźbła owsa drżały, niby dzwonki i dzwoneczki. W powietrzu, przesyconem blaskiem słonecznym i błękitem, płynęła tu i owdzie wiosenna nitka pajęczyny, błękitna od błękitu, a złota od słońca, prawdziwe przędziwo z kądzieli Bogarodzicy.

Pomiędzy łanami zbóż, we wklęsłych dolinach, zieleniły się ciemną runią łąki; tu i owdzie, gdzie w murawie dyszało źródło, tam i zieloność była jaśniejsza, a cała łąka, pokryta żółtemi kwiatami kaczeńcu, biła o ludzkie oczy nadmiarem złotego blasku. Na mokradłach ciemniały olchy, od których wiało chłodem i wilgocią.

W lesie jednak, między sosnami, gorąco już było i cichość wielka. Zdawało się, że całą krainę ogarnęła jakaś senność i omdlenie. Po chwili ustał powiew wietrzyka, a wówczas i lasy i zboża i trawy stanęły nieruchome. Liść zwieszał się na drzewach, niby ukołysany do snu; ucichł gwar ptaków i nastąpiła chwila spoczynku. Ale był to spoczynek jakby z nadmiaru słodyczy, niby rozmarzenie się natury. Tylko wielka kopuła niebieska zdawała się uśmiechać, a gdzieś wysoko, wysoko, w niepojętych głębinach błękitu, Bóg

wielki radował się dobrotliwie radością pól, lasów, łąk i wód.

Tymczasem w lesie smolarz i Kasia błądzili nieustannie, zbierając zioła, śmiejąc się lub gwarząc wesoło. Człowiek prosty, jak ptak: śpiewa kiedy może, bo to jego natura. Smolarz zaczął śpiewać prostą a tęskną piosenkę.

Ostatnie słowo piosenki ciągnie się, wedle jej melodyi, długo, żałośnie i tak też długo i żałośnie ciągnęli je smolarz i Kasia, a do wtóru im śpiewało echo w ciemnych głębiach borowych; sosna podawała odgłosy sośnie — i piosenka, poczęta słowami, przebiegłszy szeregi pni drzewnych, kończyła się w dali leśnej westchnieniem, coraz niewyraźniejszem, lżejszem, słabszem, a w końcu ciszą.

Potem znowu Kasia zaśpiewała weselszą piosenkę, poczynającą się od słów: „Zostanę ja się złotym pierścieńcem!“ Dzielna to piosenka! Młoda, oporna dziewczyna kłóci się w niej ze swym kochankiem i opowiada sposoby, przez jakie się mu wymknąć zamierza. Ale niemasz na niego rady! Gdy ona zapowiada, że zostanie złotym pierścieńcem i będzie się toczyć szarym gościńcem – on grozi, że swemi bystremi oczyma dojrzy pierścień na szarym gościńcu; gdy ona chce zostać złotą

rybką w fali — on jej śpiewa o siatce z jedwabiu; gdy ona dzikim kaczorem na jeziorze — on staje przed nią strzelcem. Aż wreszcie biedna dziewczyna, widząc, że nie skryje się przed nim na ziemi, śpiewa:

„Zostanę ja się gwiazdką na niebie,
Będę świeciła ludziom w potrzebie —
Twoją miłą nie chcę być,
Twojej woli uczynić".

Ale niezrażony niczem chłopak odpowiada:

„Pokłonię ja się w kościele ładnie,
Dam na mszę świętą, to gwiazdka spadnie —
Moją miłą musisz być,
Moją wolę uczynić".

Dziewczyna widzi, że niema dla niej ratunku ani na ziemi, ani na niebie, więc godzi się z wolą Opatrzności i śpiewa:

„Widzę ja, widzę, że boże sądy,
Kędy się skryję, znajdziesz mnie wszędy —
Twoją miłą muszę być,
Twoją wolę uczynić".

— A widzisz, Kasiu? — rzekł smolarz.

— Co, Jasiu?

On począł śpiewać:

„Moją miłą musisz być,
Moją wolę uczynić".

Kasia zawstydziła się znowu, ale rozśmiała się i chcąc zagadać, odrzekła:

— Nazbierałam już moc ziela: rozchodniku, maszerdonu, macierzanki i rosicy. Jenoby trzeba w wodę zanurzyć, bo do wieczora, na upale, zwiędną...

Istotnie, upał był wielki, a wiatr ustał zupełnie. W lesie, choć w cieniu, powietrze drgało parnem gorącem, sosny roniły silną woń żywiczną. Delikatna, złotawego odblasku, twarz Kasi była wilgotna, a modre jej oczy świeciły zmęczeniem. Zdjęła z głowy chusteczkę i poczęła się chłodzić, smolarz tymczasem odebrał z rąk jej koszyk z zielem i rzekł:

— Słuchaj, Kasieńko. Olchy stąd o dwie staje, a między olchami krynica. Pójdź, Kasieńko, napijemy się wody.

Poszli oboje. Jakoż istotnie, po niejakim czasie, grunt leśny zaczął się pochylać; między drzewami, zamiast borówek, paproci i suchych mchów, zazieleniała wilgotna murawa, pojawiła się jedna olcha i druga, za niemi całe szeregi. Weszli

w ciemny, wilgotny gaj, gdzie promień słoneczny, przechodząc przez liście, sam nabiera ich barwy i maluje bladem zielonem światłem twarze ludzkie. Jaś i Kasia zstępowali coraz niżej w cień i wilgoć. Owionął ich surowy chłód, miły po leśnym upale — i po chwili, między szeregami olch, ujrzeli w czarnym, torfiastym gruncie wijącą się, głęboką strugę wody, gdzieniegdzie zarosłą tatarakiem, trzciną, lub pokrytą wielkiemi krągłemi liśćmi lilij wodnych, które my „nenufarami", ludzie zaś prości „bieluszkami" nazywają.

Śliczne to było miejsce, ciche, ustronne, cieniste, nawet potrochu ciemne.

Przeźrocza struga wodna wiła się między drzewami. Nenufary, kołysane lekkim ruchem wody, chwiały łagodnie białem kwieciem; pochylając się ku sobie, zdawały się całować; nad szerokiemi ich liśćmi, leżącemi niby tarcze na powierzchni wody, wiły się w powietrzu ciemnoszafirowe koniki, o skrzydłach szerokich i szeleszczących, a tak delikatne i wątłe, że słusznie je wodnemi panienkami nazywają; czarne motyle z białą, żałobną obwódką, siadały na ostrzach tataraku. Na rudawem tle torfu kwitły błękitne niezapominajki; tu i owdzie szumiała kępka wysmukłej trzciny, na której powiew wiatru wy-

grywa zwykle piosenki. Po brzegach rosły posępne krzaki kaliny, a pod krzakami pstrzyły się główki konwalii, przylaszczek i dzwonków wodnych; biedrzenica zwieszała białe główki ponad przeźroczystą wodą; srebrne niteczki ostrożków, wyciągnięte z biegiem strumienia, plątały się niby w cienkie a długie warkocze; zresztą — samotność — ot! ustroń dzika, zapomniana przez ludzi, spokojna a zaludniona tylko przez światy ptaków, kwiatów i owadów.

W takiej to ciszy mieszkają zwykle nimfy, rusałki i inne złe lub dobre bóstwa leśne. To też, kiedy idąca przodem Kasia stanęła pierwsza na brzegu i spojrzała na wodę, w której odbiła się jej wdzięczna, wysmukła postać, to istotnie mogła się wydać takiem ślicznem objawieniem leśnem, jakie czasem widują gajowi w borach, albo flisacy, płynący wśród lasów z wiciną. Była bez chustki na głowie, wiatr rozwiał trochę jej warkocze i poruszał promieniami włosów na czole. Opalona była, a jasnowłosa i tylko oczy miała śmiejące się, a modre, jak haber i takież śmiejące się usta. Przytem wysoka i smukła, zupełnie rusałczana dziewczyna! Niktby nie przysiągł, że, spłoszona okiem, nie skoczy do wody, nie rozwieje się we mgłę, w tęczę lub promienie,

nie zmieni się nagle w lilię lub kalinę, która, gdy chcesz zerwać jej kwiaty, mówi ludzką, choć do szmeru drzewnego podobną mową:

— Nie rusz mnie!

Kasia pochyliła się z murawy nad wodą, aż jej warkocze spadły na ramiona, potem zwróciła się do smolarza i rzekła:

— A jakże pić będziemy?

— Jak ptaki — odpowiedział smolarz i pokazał jej palcem kilka pliszek i ślicznych jak tęcze zimorodków, które piły opodal, zadzierając dzióbki do nieba.

Ale smolarz umiał sobie poradzić lepiej niż ptaki, bo urwał ogromny liść bieluszka, skręcił go w różek, i nabrawszy wody, podał Kasi.

Napiła się Kasia, napił się i smolarz, potem ona rwała jeszcze niezapominajki, on zaś wydobył nożyk, naciął pręt wierzbinowy i począł wykręcać fujarkę.

Wkrótce fujarka była gotowa. Smolarz przyłożył ją do ust i zagrał taką prostą piosenkę, jakie pastuchy grywają wieczorami po łąkach. Łagodny głos rozpłynął się z niewymowną słodyczą w ustroniu. Po chwili smolarz odjął od ust fujarkę i począł jakby słuchać, jakby chwytać uchem echo, grające w olchach, a zdawało

się, że razem z nim słucha tego głosu i przejasna struga — i ciemne olszyny — i ptaki, ukryte po trzcinach. Ucichło wszystko, ale po chwili, niby odpowiedź, niby wyzwanie, ozwało się lekkie gwizdnięcie, za niem drugie i trzecie. Stało się jeszcze ciszej. To słowik chciał śpiewać, słowik wyzywał fujarkę.

Wnet też i począł śpiewać. Słuchało wszystko tego śpiewaka bożego. Bieluszki podniosły głowy nad wodę, niezapominajki przytuliły się do siebie, przestały szemrać trzciny, nie śmiał się ozwać żaden ptak, tylko niemądra a roztrzepana kukułka przyleciała z nad wody cichem skrzydłem, siadła na sęku, podniosła główkę, roztworzyła szeroko dzióbek i ozwała się lekkomyślnie:

— Ku-ku! ku-ku!

Ale potem snać sama zawstydziła się, że się tak głupio wyrwała, bo nagle zamilkła.

Napróżno Kasia, stojąc na brzegu strumienia, z niezapominajkami w ręku, odwróciła się w stronę, zkąd dolatywał głos kukawki i pytała:

— Kukaweńko, siwa kukaweńko, długo ja żyć będę?

Kukawka na to nic.

— Kukaweńko, będę ja bogata?

Kukułka nic.

Więc smolarz:

— Kukaweńko, szara kukaweńko, prędko będzie moje wesele?

Kukawka nic.

— Nie chce nam odpowiadać — rzecze smolarz. — Wróćmy do boru.

Wróciwszy, odszukali wielki kamień, przy którym zostawili koszyk i suche zioła. Kasia siadła pod nim, na mchu, i poczęła wić wianki, a smolarz jej pomagał. Burek położył się koło nich, wyciągnął przed się kosmate łapy, wywiesił język i począł oddychać ze zmęczenia, rozglądając się uważnie w około, czy nie dojrzy jakiego żywego stworzenia, na które mógłby się rzucić i narobić hałasu. Ale w lesie naokół było spokojnie. Słońce kłoniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosen wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkiemi, złotemi plamami. Powietrze było suche, na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Ucichło pukanie dzięcioła, czarne i rude mrówki wracały szeregami do czerwonych od zorzy i promieni słonecznych mrowisk. Jedne

z nich niosły w pyszczkach sosnowe igiełki, inne gąsienice. Między ziołami kręciła się tu i ówdzie mała czarna pszczółka leśna i śpiewając radośnie zwykłe: „dana, oj dana!“ dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar w popękanej korze drzewnej poczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; w potokach złotego światła kłębiły się roje mszyc, ledwie widzialnych dla oka; komary poczęły żałosną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Czasem zaświstał jeszcze żółtodzióby kos, lub załopotały skrzydłami wrony, które, obsiadłszy jedno drzewo, poczęły się kłócić o najwygodniejsze gałęzie. Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna podnosiła siwe listki do góry; król dąb pomruknął zcicha, lub zaszemrała warkoczami brzoza. Cisza.

Ale oto zorza stała się jeszcze czerwieńszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski — więc już i wszystkie szmery leśne zlały się w poważne i ciche, choć ogromne, chóry — to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze; drzewa opowiadają drzewom

chwałę bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach! tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach! tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się; oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiaździstą po ziemi czyni. Wielki Pan, a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, więc chwała mu na wysokościach, na wodach, na lądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowa, a potem ozwą się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę twoją, niby kadzielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną a mocną woń żywiczną. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są i pałające. Więc listkami naszemi złotemi pieśń ci czynimy, o Panie, a cienkie gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojcze nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem, posępne czoła nasze, pada rosa wieczorna. Chwała Panu! Bracia i siostry radujcie się, bo pada rosa wieczorna!

I wśród tych chórów jedna tylko osiczyna drży lękliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie, zlituj się nademną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zmilkną na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lękliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukochasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam tobie na chwałę!

Tak modli się co wieczora las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, wysoko, aż tam, gdzie niema już żadnego stworzenia, gdzie niema nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg!

O takiej chwili słońce zanurza promienną głowę w dalekie morza; rolnik przewraca pług ostrzem do góry i śpieszy do chaty. Powraca z pola ryczące bydło i w kołatki kołace; owce wzniecają tumany złotego kurzu. Potem mrok

pada: w dalekiej wsi skrzypią żórawie od studni, potem błyskają okienka, i zdaleka, zdaleka, dochodzi szczekanie psów.

Ale gdy Kasia siadła pleść wianki pod mszystym kamieniem, słońce nie zagasło jeszcze nad lasem. Owszem promienie jego rzucały na twarz jej blaski, łamane cieniem liści i gałązek. Robota nie szła śpiesznie, bo Kasia zmęczona była upałem i bieganiem po lesie. Opalone jej ręce coraz wolniej kręciły sploty ziół. Ciepły wiatr całował jej skronie i twarz, a szum drzew kołysał ją, jak do snu. Duże jej oczy stawały się błyszczącemi sennie; powieki poczęły się zlekka przymykać; oparła głowę o kamień, jeszcze raz otworzyła szeroko oczy, jak dziecię, poglądające ze zdziwieniem na świat boży; potem szum drzew, szeregi pni, iglasty grunt leśny i niebo, widne przez gałęzie, pomąciły się przed nią, pociemniały, poczęły zlewać się i majaczyć — uśmiechnęła się i usnęła.

Głowa jej pogrążona była teraz w łagodnym cieniu, za to koszulka na piersiach, oblana światłem zorzy, świeciła cała różana i purpurowa. Lekki oddech kołysał jej piersi, a tak była cudna w tem uśpieniu i w tych blaskach wieczornych, że smolarz patrzył się w nią tak, jak patrzył tylko na

obrazy w kościele, całe od złota błyszczące i jak tęcza barwiste.

Ręce Kasi trzymały jeszcze niedokończony splot ziela. Spała widać snem lekkim i miłym, bo uśmiechała się przez sen, jak dziecko, co rozmawia z aniołami. Może też i rozmawiała z aniołami, bo czysta była, jak dziecko i Bogu dziś służyła dzień cały, wijąc wianki na jutro do kościoła.

Smolarz siędział koło niej, ale nie spał. Rozpierało uczucie jego pierś prostaczą, czuł jakby dusza dostawała mu skrzydeł i gotowała się ulecieć w przestworze niebieskie. A hej! hej! sam nie wiedział, co się z nim dzieje, więc oczy tylko utkwił w niebie i rzekłbyś: skamieniał z kochania.

I długo jeszcze spała Kasia i długo siedzieli tak oboje. Tymczasem zmroczyło się. Resztki purpurowego światła walczyły z cieniem. Wnętrze lasu pociemniało—głuchło. Ze trzcin jeziora, od strony chaty i polanki, doszło nocne hukanie bąka.

Nagle, za jeziorem, w kościółku, zadzwoniono na Anioł Pański. Głos leciał nad spokojną tonią jeziora, leciał na skrzydłach wieczornego powiewu, czysty, dźwięczny i donośny. Sygnaturka wzywała wiernych do modlitwy, a zarazem zwiastowała

spoczynek: „Dość trudów i znoju — mówił dzwonek — owińcie się do snu skrzydłem bożem. Pójdźcie, pójdźcie zmęczeni do Boga, w nim radość! Tu cisza, tu wesele, tu sen! Tu sen! tu sen! tu sen!“

Smolarz zdjął kapelusz na odgłos dzwonka, Kasia otrząsnęła sen z oczu i rzekła:

— Dzwonią?

— Na Anioł pański...

Klękli oboje przy omszałym kamieniu, jakby przy ołtarzu. Kasia poczęła mówić łagodnym, smutnym głosem:

— Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Maryi...

— I poczęła z Ducha Świętego — odpowiedział smolarz.

— Oto ja służebnica Pana mego.....

.....

I tak, klęcząc, modliły się te boże dzieci. Cicha, letnia błyskawica przeleciała między wschodem i zachodem, a po świetle jej zesunął się z nieba rój aniołów skrzydlatych i zawisnął nad głowami tych dwojga. A potem pomieszali się z aniołami i sami byli prawie jakby anieli bo nad te dwie dusze nie było jaśniejszych, czystszych i bardziej niewinnych na ziemi.

WSPOMNIENIE Z MARIPOZY

(Z OPOWIADANIA)

Maripoza przeświecała złocistem dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili tu się górnicy amerykańscy, „gambusinos“ z Meksyku, i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. „Złote“ miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już nanowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewywali wieczorami: „I crossed Missisipi“, obecnie śpiewają kojoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma „Capitol“, trzecie hotel pana Bilinga, obejmujący zarazem grocernię „saloon“ to jest szynk i „bakery“ czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymiemi lasami, w których zrzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dyliżans nasz wjeżdżał do miasta, było w niem niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem

w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocerni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracya napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych wysokich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu pan Biling, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy. Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees, ponieważ zaś tacy turyści, stanowią najpożądańszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra. Tak po jego ruchach jak i po twarzy łatwo było poznać, że nie był to Prusak. Z wielkiem ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w „dining room".

— Gentelman zapewne z San Francisko?

— O nie. Z dalszych stron.

— All right! Zapewne do Big Trees?

— Tak jest.

— Jeżeli pan życzysz sobie obejrzeć fotografie drzew, wiszą one na dole.

— Dobrze zaraz zejdę.

— Czy długo pan zabawi w Maripozie?

— Kilka dni. Potrzebuję odpocząć, a przytem chcę widzieć okoliczne lasy.

— Polowanie tu doskonałe. Niedawno zabito pumę.

— Dobrze, dobrze. Tymczasem pójdę spać.

— Good bye! Na dole jest książka hotelowa, w której pan raczysz, zapisać swoje nazwisko.

— Dobrze.

Położyłem się spać i spałem aż do obiadu, o którym oznajmiono uderzeniami pałki w blaszaną górniczą miednicę. Zeszedłem na dół i przedewszystkiem zapisałem się do książki, nie omieszkawszy do swego nazwiska dodać: from Poland. Następnie udałem się do „dining room'u". Targ widocznie już się skończył, handlujący rozjechali się do domów, bo do obiadu zasiadło kilka tylko osób. Dwie familije farmerskie, jakiś jegomość bez oka i bez krawata, miejscowa nauczycielka, która widocznie stale mieszkała w hotelu i jakiś starzec, o ile z ubioru i broni mogłem

wnosić — skwater. Jedliśmy w milczeniu, przerywanem tylko krótkiemi frazesami: „Chciałbym panu podziękować za chleb“ lub „za masło“ lub „za sól“. W ten sposób siedzący dalej od chleba, masła lub soli proszą o posunięcie tych przedmiotów bliżej nich siedzących sąsiadów. Byłem zmęczony, i nie chciałem rozpoczynać rozmowy. Rozglądałem się natomiast po pokoju, którego ściany, jak rzekł pan Biling, były zawieszone fotografiami drzew olbrzymich. Więc: „Father of the Forest“ czyli ojciec lasu, zwalony już. Nie mógł jednak udźwignąć swoich 4.000 lat na grzbiecie.

Długość: 450 stóp, obwód 112. Ładny tatuś! Wierzyć się nie chce oczom i podpisom. Grizlled Giant: 15 łokci średnicy. No! nawet żydzi nasi namyślaliby się, gdyby im kazano odstawić taką roślinkę do Gdańska. Dusza skakała mi z radości na myśl, że wkrótce zobaczę w naturze i własnemi oczyma tę grupę drzew, a raczej wież kolosalnych stojących samotnie w lesie... od potopu. Ja, warszawiak, ujrzę własnemi oczyma „ojca“, dotknę jego kory a może kawał jej przywiozę, do Warszawy, na dowód sceptykom, że naprawdę byłem w Kalifornii. Człowiek gdy się tak zabłąka, samemu sobie wydaje się dziwnym

i mimowoli cieszy się myślą, jak to będzie opowiadał za powrotem i jak miejscowi sceptycy nie będą mu wierzyć, by były na świecie drzewa mające pięćdziesiąt sześć łokci obwodu. Rozmyślania te przerwał mi głos murzyna.

— Czarnej kawy? białej?

— Czarnej, jak sam jesteś — chciałem odpowiedzieć, ale odpowiedź byłaby nietrafną, stare bowiem murzynisko miało białą jak mleko czuprynę i ledwo nogi włóczyło ze starości.

Tymczasem obiad się skończył. Wstali wszyscy. Ojciec farmer zapchał sobie zuchwy tytoniem, mama farmerka, siadłszy na biegunowym krześle, poczęła się bujać zawzięcie, a córka, jasnowłosa grzywiasta Poly czy Katty, poszła do pianina i po chwili usłyszałem:

— Jenkee Doodlee is going down Town...

— Nie mnie brać na Yankee Doodle! — pomyślałem sobie. — Od New-Yorku do Maripozy, grają mi to panny na fortepianach, żołnierze na trąbkach, murzyni, na bandżach, dzieci na kawałkach wołowych żeber. Zapomniałem! Jeszcze na okręcie prześladowała mnie Yankee Doodle. Z czasem w Ameryce pojawi się zapewne choroba: Yankee-Doodlee-fobia! Zapaliłem cygaro i wyszedłem na ulicę. Lekki mrok ogarniał prze-

stworze. Wozy się porozjeżdżały, emigranci również. Było cicho i uroczo. Zachód rumienił się zorzą, wschód ciemniał. Było mi jakoś wesoło i dobrze. Życie wydało mi się nader przyjemnem, lekkiem, swobodnem. Z ogródków przy domach, dochodziły mnie śpiewy, gdzieniegdzie wśród krzewów mignęła biała sukienka, gdzieniegdzie para jasnych oczu. Co za śliczny był wieczór! Szkoda tylko, że w Ameryce obywatele mają zwyczaj wieczorami palić śmiecie na ulicy. Zapach dymu bardzo niepotrzebnie miesza się oto z zapachem róż i świeżą wonią poblizkich lasów. Od czasu do czasu z przyległych do miasteczka pól i gęstwin, dolatywały odgłosy pukaniny ze strzelb, bo niemal wszyscy mieszkańcy Maripozy, są myśliwymi; zresztą ruch już ustał, śmiecie dogorywały. Na ulicy spotkałem kilka osób, i nie wiem, czy mimowoli własne moje usposobienie, przeniosłem na twarze innych, ale wśród łagodnych blasków zachodu, wszystkie te twarze, wydały mi się dziwnie zadowolone, spokojne i szczęśliwe.

— Może też, — myślałem sobie — żyje się tu cicho, spokojnie i szczęśliwie, w tym nieznanym, zapadłym w lasach kącie świata. Może też w tej amerykańskiej swobodzie, dusza tak rozpromienia się i świeci łagodnem światłem, jakby robaczek

świętojański. Tu przytem i nie głodno i nie chłodno, i przestrzeni dużo, jest się gdzie rozkurczyć, jest ręce gdzie wyciągnąć... A przytem te lasy tak spokojne, ach! jak spokojne... Kilku murzynów idących naprzeciw mnie śpiewało dość dźwięcznemi głosami, szczęściem nie Yankee-Doodle, ale „Srebrne nitki".

— Dobry wieczór panu, — rzekli uprzejmie, przechodząc koło mnie. I ludzie tu jacyś życzliwi, grzeczni. Doprawdy, gdy przyjdzie starość, pomyślę nieraz o tej cichej Maripozie. Z wysoka doleciał mnie głos żórawi ciągnących gdzieś ku Oceanowi. Rozkołysałem się i rozmarzyłem. Dziwne zebranie wrażeń! ale wróciłem do hotelu prawie rozrzewniony i jakiś tęskny. Począłem myśleć o domu, o moich, i także zacząłem śpiewać, ale także nie Yankee Doodle. O nie! Śpiewałem: „U nas inaczej! inaczej! inaczej!...

— Puk, puk, puk!

— Ciekawym, kto to być może, — pomyślałem.

— Puk! puk!

— Comme-in.

Wszedł gospodarz. Co u licha! co za kraj. I ten ma minę zupełnie wzruszoną. Zbliża się do mnie, ściska mnie silnie za rękę i nie puszczając mej dłoni, oddala się na długość ramie-

nia, patrząc na mnie tak, jakby mnie chciał błogosławić.

Otwieram usta i moje zdziwienie równa się jego rozrzewnieniu.

— Zobaczyłem w księdze hotelowej, — mówi — pan jesteś z Polski?

— Tak jest. Czy i pan Polak.

— O nie! jestem badeńczyk.

— To pan był w Polsce?

— O nie! nigdy...

— A więc?...

Moje oczy otwierają się równie szeroko jak usta...

— Panie, — rzecze gospodarz służyłem pod Mierosławskim.

— Tam do licha!

— To był bohater! to największy wódz w świecie. Jakżem szczęśliwy, że pana widzę... Czy on żyje jeszcze?

— Nie, umarł.

— Umarł, — mówi Niemiec — i siadłszy, ciężko opuszcza ręce na kolona, a głowę na piersi.

Nie wiedziałem sam, co mam zrobić. Nie podzielałem entuzyazmu pana Billinga dla M., ale w tej chwili entuzyazm ten był mi miłym i pochlebiał mi. Tymczasem p. Billing zwycięża swój

smutek i uwielbienie jego dla M. płynie kaskadą, wobec której niczem Niagara albo Yosemita Falls. O uszy moje obijają się imiona kilku bohaterów starożytności, kilku z średnich wieków, następnie Waschingtona, Lafayeta, Kościuszki i Mierosławskiego; potem słyszę wyrazy takie jak: swoboda, postęp, cywilizacya, słyszę setkami, tysiącami. Wymowny jenerał miał widocznie wymownych szeregowców.

— To był człowiek idealny! — wykrzykuje nakoniec mój gospodarz.

— Był czy nie był, mniejsza o to, — myślę sobie — ale faktem jest, że ty pozytywny Niemcze, jeśli masz w sobie coś idealnego, to dziwnym zbiegiem okoliczności, zawdzięczasz to Polakowi. Gdyby nie on, ergo, gdyby nie my, myśl twoja nie uleciałaby może nigdy ponad dolary, bussines i zyski z swego hotelu. Łapałbyś tylko chciwie turystów jadących do Big-Trees i skakał koło nich, jak koło mnie skakałeś, a teraz oto duch wyższy dmie przez ciebie, jak przez dudy organów – i wyrzucasz słowa, które już skwaśniały jak stare piwo w Europie, ale które jednak nie przestały być najszlachetniejszemi słowami, na jakie się zdobył język ludzki. W starej Europie jest tylko może jedyny kąt, gdzie je biorą jeszcze

na seryo i czasem wymawiają ze łzą w oku, a czasem z bólem, że inni poniewierają temi skarbami, lub na nich gwiżdżą jak na dziurawych orzechach Ale trudno... I w owym kącie czasem także... trudno — o jak trudno! Co za poczciwy jakiś niemiec; nie imponuje mu nic a nic Sadowa, ani Sedan, on tylko wspomina M. i swoje Badeńskie. Co za poczciwy niemiec! Adres jego: Billing's Hotel Kalifornia Maripoza County. Warto zanotować adres takiego niemca. Trzebaż aż do Maripozy po niego jechać!

All right!

On tymczasem powtarza: Ach ten M.....! i obciera oczy, wyraźnie obciera oczy. Dusza złota!

— Tak mi miło, że pana widzę, jakbym się napił whisky z imbierem! mówi do mnie. Ściska moją dłoń, ściska ją po raz drugi, trzeci i zabiera się ku drzwiom. Przy drzwiach pali się ręką w czoło, aż plasło.

— Ale mówi. O tom zapomniał! Przecie tu jest pański [redacted]k.

— W Maripozie?

— Nie on mieszka w lesie. Ale w piątek, przyjeżdża na targ z miodem, i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry!

On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyna się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! I don't know! Nie wiem, mówi. Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz ledwiem wstał, już mój niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Natychmiast poznałem w nim starca, który wczoraj jadł ze mną obiad.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwił we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością

— Zostawiam panów samych — rzekł niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Po prawdzie byłem jakiś zmięszany widokiem tego starca podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę sie Putrament, — ozwał się starzec. Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. odparłem. Pańskie odbiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy? Coś istotnie przypominało mi się z pana Tadeusza, coś „Putrament z Pikturą“ w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— Hę? rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? pomyślałem, ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. — Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

— Pan dawno z kraju? spytałem.

— Dwadzieścia dwa lata tu mieszkam i zaprawdę pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych gwoli czemu, wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. — Co do mnie byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San-Francisko i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzy-

knąć: co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć Brr! Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. — Kilka razy jakby pragnął mówić i uciął. Widocznem było, iż sam czuł, że nie wyraża się jak każdy inny człowiek. — Mowił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda to nie grzech! pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec — myślałem, ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja o to, jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi powtarzając:

Rodak! rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca.

Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego, on wciąż patrzył na mnie.

— Co słychać w ziemi naszej? spytał.

Rozpuściłem język jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich, szanowna jego głowa kiwała się smutno — lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tymże samym poważnym, dziwnym i niewytlumaczonym dla mnie stylem.

Wszystko com mu opowiadał zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie, wśród lasu może on dnie całe myślał tylko o tem co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie. Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem; — unosisz ciało swoje a duszy oderwać nie umiesz — i chodzisz jak błędna między innemi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem — a jest rzeczywistością — Putrament może żyje jeszcze

w swoim lesie w blizkości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się co następuje. Był pasiecznikiem jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się wziął pomocnika, małego indyanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptastwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego „Canyon“ jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień tworzący mnóstwo kaskad — zresztą skały i góry a na nich las i las nieprzebyty. — Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham, lub Jakób... Słowa: Aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wzdy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą, jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego, lub Skargi, który pod ziemią przewędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu, lub żył od owych czasów, jak owe Big-Trees poblizkie. Ale prócz tego starego języka, była w mowie

jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, zkąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jednę książkę mam w domu: biblię Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich...

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka i nic dziwnego, że nietylko jego słowa, ale i myśli, ułożyły się do miary biblii. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją biblię każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie.

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz

pan jakich krewnych? brata, swata, kogokolwiek, komubyś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych — potem począł potrząsać głową.

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech Cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

On zaraz wyjechał do lasu — ja, w dwa dni potem, do Big Trees Gdym wsiadał do dyliżansu, mister Billing wstrząsał moją ręką, jakby ją sobie chciał urwać na pamiątkę i powtarzał:

— To był wielki człowiek, panie, ten M. — Good bye! Good bye! Sehr grosser Mann!

W kwadrans potem otoczyły mnie lasy Maripozy. Nazajutrz, rankiem, myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w Kanjonie swoją biblię....

Z PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

Do puszczy jedzie się ze strony Bielska, krajem otwartym, płaskim. Tylko przyrzeczne łąki przerywają jasną zielenią jednostajność szarej równiny. Rzecz dziwna, — lasów naokół puszczy niema wcale, a wzrok lecieć może daleko, nim zgubi się w oddaleniu. Łatwość o drzewo z puszczy i niezmierna jego taniość, sprawiły zapewne, że okoliczne wioski wycięły swoje bory. Ale okolica, a raczej jej malowniczość, na tem straciła. Jak okiem sięgnąć: rżyska, rżyska, łany rozległe, smutne. Wsie wielkie, o porządnych zabudowaniach i jaskrawych, nowo-wzniesionych cerkwiach, leżące w środku pól, nie okolone są, jako gdzieindziej, dąbrowami, ni olszyną. Robi to wrażenie pustki, choć kraj tu żyzny, gleba pszeniczna, a osady szlacheckie i chłopskie bogate.

Dopiero w pobliżu Hajnówki ujrzeliśmy widnokrąg zamknięty pasem boru. Była to puszcza. Dojrzeć ją można z większej odległości, niż inne lasy, nietylko z powodu równości gruntu, ale z powodu ogromu drzew i wielkiej głębi obszarów leśnych. Skutkiem tych głębin, puszcza odrzyna się na skłonie nieba niezmiernie czarno, bez porównania wyraziściej i twardziej, niż knieje, jakie zdarzyło mi się widzieć w Królestwie. Gdyśmy zbliżyli się jeszcze więcej do Hajnówki, przed nami była jak gdyby wstęga kiru, której końce szły dalej niż wzrok. Ciągnie się też puszcza siedm mil wzdłuż i pokrywa 22 mile kwadratowe, nie licząc w to Świsłockiej, niegdyś Tyszkiewiczowskiej, obecnie rządowej. O ile mi wiadomo, jestto największy las w Europie. Drzewa też w nim nie ustępują wyniosłością i grubością żadnym innym. W pierwszej chwili jednak nie mogłem sprawdzić tego własnemi oczyma, gdyż zaraz z brzegu gościńca, wiodącego przez puszczę z Hajnówki do Białowieży, ogarnął nas mrok. Za puszczą było jeszcze dość widno, gdyż słońce ledwie co zaszło, ale odblaski zorzy z trudnością przedzierają się przez mroczne głębie, a odwykłe od lasów oczy, tem mniej widzą, im naglej przechodzą z światła w cienie. Gościniec tylko bielił

się między dwoma czarnemi ścianami, które jednak o kilkadziesiąt kroków dalej zdawały się zlewać ze sobą. Droga jest równa, szeroka, okopana rowami. Idzie ona z brzegowej Hajnowszczyzny do Białowieży, leżącej w środku boru, potem dalej przez całą puszczę.

Jestto dawny gościniec królewski. Ujechawszy do ośmiu wiorst drogi wozem, resztę szliśmy piechotą, aż do osady leśnika, na połowie drogi do Białowieży. W osadzie tej mieliśmy zamieszkać przez czas pobytu w puszczy. Noc zapadła zupełna. Nad gościńcem widać było pas nieba, zasiany gwiazdami, a tam gdzieś daleko, na brzegach leśnych, wschodził księżyc. Jednakże promienie jego nie rozświecały wnętrza puszczy, które przysłaniał opar, podnoszący się z wilgotnego gruntu. Było ono zamglone, zmącone, ciemne. Czarne sylwetki drzew przydrożnych rysowały się ledwie widomie dla oka, a dalej drzewa, opar i ciemność zlewały się w jeden nieprzeniknony bezkształt. Nie było przytem najmniejszego wiatru. Nie poruszała się żadna gałąź. Wszędzie cisza nieprzerwana. Czasem tylko zaskrzypiało koło wozu, idącego za nami. Mimowoli poddawaliśmy się tej ciszy i rozmawialiśmy półgłosem. Jeśli każdy las sprawia w ciemnościach

pewne drażniące wrażenie czegoś nieznanego i tajemniczego, tembardziej musi sprawiać je puszcza tak wielka, w której się jest po raz pierwszy. Tymczasem księżyc żeglował coraz wyżej i wyżej. Gościniec rozwidnił się, wilgoć połyskiwała we wklęsłościach drogi, a opar poczynał zesuwać się ku dołowi. Do osady leśnika było już niedaleko, gdyż od czasu do czasu słyszeliśmy szczekanie psów. Szliśmy jeszcze z pół godziny, poczem droga otworzyła się nagle w niewielką polankę leśną. Dojrzałem wysoki żywopłot, za nim zaś coś nakształt postumentu, błyszczącego jak srebro w świetle księżyca. Jestto olbrzymi bronzowy żubr, odlany i wystawiony tu na pamiątkę jakiegoś dworskiego polowania. Sama osada leśnika składa się z dworku, lamusa, w którym przechowywują się skóry żubrze — i ze stodoły. Całość, ogrodzona wysokim częstokołem, wygląda jak gdyby obronna. Chwilami zdawało mi się, że jestem w Ameryce i że przybywamy do osady skwatera. Ta noc, puszcza, chata zagubiona w głębinach leśnych, wszystko to żywo przypominało mi rzeczy widziane na drugiej półkuli. Złudzenie powiększała jeszcze krzątanina, jaka zwykle towarzyszy przybyciu i roztasowywaniu się w nowem miejscu. Nasz wóz, zaprzężony w sześć koni i zbu-

dowany umyślnie na wyprawę, a mieszczący wygodnie dwanaście osób, mógł też przypomnieć owe „team'y“ pitsburskie, owe „okręty stepu“, krążące po pustkowiach Nebraski lub Wyomingu. Teraz wyprzęgano właśnie zeń konie przy świetle latarni, a zarazem ku wielkiemu zainteresowaniu psów miejscowych, wypakowywano zapasy żywności.

Podróż nasza, dzięki kilku towarzyszom, była obmyślana i zapowiedziana z góry w puszczy, tak, że leśnikowi nie zrobiliśmy niespodzianki. Ofiarował też nam, co mógł ofiarować, to jest ogień w kuchni i izbę, w której mieliśmy nocować. Wkrótce obozowisko było gotowe i przybytek myśliwski zapełnił się dymem cygar, papierosów i miłym dla każdego polskiego nosa dymem potrawy, w której, wedle słów Mickiewicza, kapusta:

Zamknięta w kotle, łonem wilgotnem okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wyciśnie
Soki żywne, aż z brzegów naczynia war tryśnie
I powietrze dokoła zionie aromatem.

Otóż powietrze zionęło aromatem; „strzelcy bodli naczynie;“ psy odprowadzały oczyma każdą łyżkę, niesioną z talerza do ust, a dźwięk talerzy

i łyżek mieszał się z gwarem wesołej rozmowy o jutrzejszej wycieczce w głąb zwierzyńca i o żubrach. Bądźcobądź miło jest sobie powiedzieć: jestem w Białowieskiej puszczy, o której prawili mi mój dziad i ojciec i będę jutro widział żubry, których prawdopodobnie ani dziadek, ani ojciec nie widzieli — milej jeszcze, gdy się taką wyprawę odbywa w dobranem i sympatycznem towarzystwie, gdy się ma spędzić kilka dni życiem koczowniczem, pełnem wrażeń na wycieczkach w różne „straże“ nieznanej kniei. Nakoniec nie jest nieprzyjemną i myśl, że w przerwach poetycznych natchnień, jakiemi obarcza duszę puszcza, będzie się miało do czynienia z bigosem. Z dawnych czasów zostało w nas trochę żyłki żołnierskiej, więc gdy się człowiek znajdzie na jakiemś improwizowanem choćby obozowisku, gdy się oderwie od pióra, biura i krzesła, w które całe życie wrasta, to i duszy wesoło. Jest w tem coś nowego, niezwykłego.

Oto np. ściany izby całe ubrane są w rogi jelenie, daniele i łosie.... Przez małe okienko połyska w świetle księżyca żubr bronzowy, a dalej stoi nieruchoma puszcza.... Po wieczerzy wychodzimy na ganek — i na majdan. Widno, pogodnie. Mgła już znikła. Konie, skupione przy

wozie, chrupią obrok. Jak cicho! ale jak cicho! przestronno, poważnie, dobrze! Oko, choć przy księżycu, widzi, że tu sosny jakieś odwieczne, wynioślejsze niż gdzieindziej. Może dlatego nie wlazły dotąd żydom w kieszeń. Nikt też nie potrzebuje robić z nich miotły dla wymiecenia jakiej, niezbyt czystej, hipoteki. Czasem tam popłynie cicho która z tych matron Lśną lub Narewką, ale to rzeki zamałe, by cała Białowieża mogła niemi wypływać — sosny więc stoją ogromne, strzeliste i teraz oto księżyc gra po nich, jak grał sto lat temu; oświeca ich czuby, wdziera się w przerwy między gałęźmi i upada na grunt puszczy, w kształcie długich białych snopów i pasem. Rzekłbyś: duchy przechadzają się wśród kolumn. Prawdziwe czarodziejstwo leśne. Głębokie cienie i tuż drgające plamy srebrne! Coś tam porusza się, coś żyje! Tylko czekać. jak zaśpiewa dziwo-żona. Ale i bez tego chciałoby się choć zaraz iść w głąb.

Tymczasem zbliża się ku nam gospodarz. Jestto młody jeszcze człowiek, o twarzy zamyślonej i trochę posępnej, jak zwykle ludzie leśni, którzy większą część życia przepędzają w samotności. Nasz zapewne od dzieciństwa chował się w puszczy a może nietylko on, ale i jego

ojciec i dziad, bo urzędy leśników przechodzą z ojca na syna.

— Czy panowie słyszeli jelenie? — pyta przeciągłym głosem.

— Nie. Czy można je ztąd słyszeć.

Leśnik patrzy przez chwilę na gwiazdy.

— Tylko słychać jak rozpoczną. Teraz, panie, bekowisko. Samce straszą się po całych nocach. Taki ryk, że człowiek niezwyczajny i spaćby nie mógł.

Jakoż nie trzeba było długo czekać. Krótki, urwany, chrapliwy ryk zagrzmiał nagle wśród ciszy i natychmiast odpowiedział mu drugi. Konie przy wozie, jako pochodzące z równin i nieprzywykłe do lasów, ni do podobnych głosów, targnęły za postronki, przestały jeść owies i strzygąc uszyma, poczęły chrapać niespokojnie. Tymczasem cała puszcza rozebrzmiała na około, w samym bowiem zwierzyńcu, na skraju którego stoi chata, jest przeszło sto sztuk jeleni. Zwierzyniec to nielada. Stanowi go sześćdziesiąt włók lasu, ogrodzonych częstokołem — lasu, tak dzikiego, a miejscami bagnistego, jak każdy inny. Są tam osobne części dla żubrów, dzików i jeleni. Głosy tych ostatnich rzeczywiście nader są przykre i ponure. Ryk składa się z krótkich, urywanych, gardłowych

brzmień. Chwilami przechodzą one w przeciągłe chrapliwe jęki lub basowe, stłumione stakatta, w których nadzwyczaj wyraziście znać gniew, rozpacz lub zaciekłość. Samcy wyzywają się w ten sposób i straszą.

Wśród nocy rozegrywają się podczas bekowiska prawdziwe dramata natury. Leśnik nasz podpatrywał je niejednokrotnie. Na księżycowych polankach, wśród bagien i zarośli, samce toczą bój na śmierć i życie. Karki i grzbiety ich, powyginane w kabłąk wysileniem, prą się wzajemnie. Rogi uderzają o siebie; czasem się plączą — a wówczas zczepieni zapaśnicy wodzą się wzajemnie po polance. Gardziele ich ryczą i charczą. Nozdrza dymią — na około zaś z krzaków i między drzewami widać przy księżycu wdzięczne głowy łań, czekających na rezultat walki. Rankiem leśniczy często znajduje trupy samców. Często stają się one łupem kłusowników, gdyż zapamiętawszy się, nie słyszą kroków człowieka. Korzystają również z takich walk wilki i rysie. Wilków wprawdzie mało jest w puszczy: co więcej, rozdrażniony jeleń broni się zaciekle; ale przed rysiem, rzucającym mu się na kark z drzewa, nie może się uchronić.

Nazajutrz rankiem wyszliśmy pod przewodni-

ctwem leśnika, obiecano nam bowiem widok żubrów. Po dniu można się było doskonale puszczy przypatrzeć. Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedyńczych straży, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośredniem sąsiedztwie. Spoglądając w dal — widzisz wszystkie odcienia zieloności — od ciemnej, aż do jasno-żółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, którego tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie rozrasta się tam szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach przykrywają cieniem gałęzi takie szerokie przestrzenie — tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Owoż i w tych miejscach dostrzegamy przedewszystkiem gładkie, smukłe pnie, podobne do szeregów masztów, ustawionych obok siebie i nakrytych jedną zieloną kopułą. Dąb nie krzywi się w puszczy, nie związuje w węzły, ale wyrasta, jak trzcina. Sosny

mają czterdzieści łokci do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła — wyrasta więc cienki, gonny — rzekłbyś: drzewo o grubości myśli dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może. Stare drzewa stoją jednak dość rzadko. Młodzież pod niemi przeważa. Tylko w części, zwanej Browskiem, w Nieznanowym Rogu i koło Zamczyska, znajdują się miejsca, pokryte jednolitym starodrzewem, stojącym w zbitych masach. Ale tam też, u stóp olbrzymów, z powodu wiecznego mroku młody las rosnąć nie może; tam ledwie gdzieniegdzie tuli się paproć blada, rdzawa — zresztą grunt pokryty jest tylko uschłem igliwiem, zwiędłym liściem, próchnem z umarłych dawno drzew, które nocą świeci błękitnie — i zwałami. W tej części, którą przechodziliśmy teraz olbrzymy stoją pojedyńczo, jak strażnicy, jak ojce. Pod niemi, młoda gęstwina się zieleni. Grunt zwierzyńca, niski i wilgotny, w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód pochylał się coraz bardziej i stawał się miejscami bagnisty. Wytężaliśmy wzrok, czy gdzie wśród zieleni nie zobaczymy żubrów. W puszczy możnaby ich szukać całe tygodnie, ale w zwierzyńcu łatwiej je wypatrzeć. Chłopi z Bud,

których trzeba nająć umyślnie, znalazłszy stado, naganiają je na zwiedzających i wówczas, schowawszy się za sosny, można przyjrzeć się mu dokładnie.

Należy tylko uważać, by nie wychylić się zawcześnie, bo spostrzegłszy ludzi przed sobą, spłoszone zwierzęta zmieniają natychmiast kierunek i nikną, nim oko pochwycić zdoła ich kształty. Przez długi czas szliśmy w milczeniu, wytężając wzrok i nie widząc nic.

Naokoło rozlegało się tylko kucie dzięciołów w spróchniałe sosny, krzyk sojek i żołn. Droga stawała się błotnistą. Gdzieniegdzie błyszczały dość głębokie kałuże wody, w których kąpią się jelenie. Miejscami widać było wyraźnie odciśnięte w błocie ślady potężnych racic żubrowych — ale na żubry nie mogliśmy trafić. Natomiast coraz częściej pierzchały w oddali jelenie, których rudawa odzież miga, jak błyskawica, wśród zieloności. Puszcza stawała się gęstszą. Nakoniec zeszliśmy stadko łań tak blisko, że można się im było dokładnie przyjrzeć.

Krótko to jednak trwało. Wkrótce wysmukłe szyje poczęły się chwiać i podnosić, rozwarte, ruchome nozdrza badały niespokojnie powietrze, nastawiane uszy poruszały się szybko — i nagle

stado mignęło, zaszeleściały zarośla. Kilka grzbietów błysnęło po nad krzakami i znikło.

Zrobiliśmy mały wypoczynek. Tymczasem przyjechał nadleśny, który wysłał budników na poszukiwanie żubrów. Była obawa, że, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli pognać stado w inną stronę. Nagle, w oddali, pokazał się jakiś wieśniak i szedł spiesznie, jakby nam chciał co zwiastować.

— A co tam? są żubry? — spytałem go.

Chłop zwrócił na mnie wielkie, jakieś przestraszone niebieskie oczy — ogarnął niemi całe zgromadzenie, i przeszedł spiesznie, nie odrzekłszy ni słowa. Uderzyła mnie jego twarz. Była wychudła, blada a w spojrzeniu miał coś nieprzytomnego.

— To waryat — rzekł nadleśny. — Dobry człowiek. Nikomu nie robi nic złego. „Dobry mały". Błąka się tak po całych dniach — jakby kogoś szukał. Nocą przychodzi do Bud. Dają mu jeść. Biedne człeczysko.

Rzeczywiście był to wieśniak z Bud, który zwaryował — jak się zdaje — z przerażenia, w czasie ostatniej wojny tureckiej, w której brał udział jako żołnierz. Odesłano go do domu i odtąd przebiega w rozmaitych kierunkach puszczę, jakby kogoś poszukiwał. Do ludzi nic nie mówi. Spotkawszy kogoś, mija go z pośpiechem, rzuca-

jąc mu to pytające i jakby przelękłe spojrzenie, które tak silnie utkwiło mi w pamięci.

Szczególne spotkanie... w puszczy.

Nadleśny odjechał. Po chwili zjawił się jeden z budników.

— Schowajcie się, schowajcie! — wołał. — Zaraz będą szły tędy.

Skoczyliśmy coprędzej do sosen — żubry szły rzeczywiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitemi kudłami, zwieszającemi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas, czy też zwietrzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie

znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z niemi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy. Krasne łanie biegły bezładnie, becząc, za niemi zaś ostatni podążał jeleń, jakiś zwycięzca z wczorajszej walki, uwieńczony potężną koroną rogów. W przeciwieństwie do stosunków niezwierzęcych, ogromne te rogi właśnie zapewniły mu wierność małżonek.

Teraz biegł za niemi w ciężkim galopie, przechylając przeciążoną głowę na grzbiet. Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać ze sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie więcej, jak o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę,

kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nietylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi przybyłych zdaleka i noszących nieznane im ubiory. Wogóle jednak żubry są płochliwe i gdy ranny jeleń rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nietylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem — i rzuca się na oślep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop pu-

szczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej. Bywają także wypadki, że w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest: uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depcze go i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę.

Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszów, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna zarazem, to i siła jego nie jest mniejsza. Dowodem tego jest wypadek, jaki niedawno zdarzył się w Budach. Chłopi puszczańscy, siedząc we wsiach, położonych koło biegu rzeczek i strumieni, mają przepyszne pastwiska, a co zatem idzie i bydło tak piękne, jakiego gdzieindziej nawet w wielkich gospodarstwach nie znaleść. Jestto wspaniała leśna rasa o wysokim zadzie, niskim przodzie i kościach okrągłych — rasa bardzo mięsista i mleczna, hodowana z zamiłowaniem i starannością. Ponieważ jednak wsie puszczańskie leżą czasem po pięć i sześć mil w głębi puszczy i gospodarzom daleko było jeździć do dworów trzymających stadniki, zakupili więc sobie składkowym sposobem olbrzymiego buhaja, który miał stale w Budach rezydować. Na nieszczęście, tuż do Bud przypiera częstokół żubrowego zwierzyńca. Buhaj, wyrwawszy się w nocy, obalił dwa przęsła częstokołu, wszedł do zwierzyńca i spotkał się ze starym pojedynkiem. Zaczęła się walka, przy której obecni byli rozbudzeni chłopi. Próbowali nawet przerwać ją krzykiem i drągami, ale usiłowania te nie przyniosły najmniejszego skutku. Zapaśnicy parli się łbami, lub odskakiwali od siebie, aby po chwili

zewrzeć się nowem, strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Chłopi pouciekali, żubr zaś bódł go jeszcze przez pewien czas z wściekłością. Nazajutrz, w dzień, znaleziono byka z rozdartym brzuchem, z wnętrznościami na zewnątrz — prócz tego wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchotane i zmiażdżone.

Historyę tę opowiadał mnie i Glogerowi młody budnik, który nas woził do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Obecnie nie ma już prawie niedźwiedzi w puszczy, ale czytałem w swoim czasie, że żubr, zaczepiony przez niedźwiedzia, pokonywał go z łatwością. Za to trzy, a nawet dwa wilki, kładły po pewnym czasie najtęższego pojedynka, gdy bowiem jeden skakał mu przed łbem, drugi korzystał z czasu, by wyrwać mu dziurę w boku i wypuścić wnętrzności. Stada jednak żubrowe nie obawiały się wilków, choćby po Matce Boskiej Gromnicznej, połączonych w gromady.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnętrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite — za to jest dłuższy

i silniejszy w zadzie. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz Litwin nie ustępuje amerykaninowi, ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo gdy bizonów są jeszcze na wysokich i niskich stepach setki tysięcy — liczba żubrów nie przenosi sześciuset sztuk. Mnożą się one bardzo powoli, gdyż cielęta ssą bardzo długo. Trzyletnie ogromne byczysko musi klękać na przednie nogi, chcąc dostać się do wymienia matki, a jeszcze ją wysysa. Za rządów pruskich liczba tych zwierząt zmniejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Wówczas to z Białostockiego obwodu wpadały suchą granicą całe bandy kłusowników, które stawiały opór leśnikom i wybijały żubry niemal otwarcie. Przy gospodarstwie pruskiem nie byłyby zapewne takie nadużycia długo trwały, na razie jednak niepodobna było im zapobiedz. Później, w roku 1821, liczono już tylko 370 sztuk. Raptowne to zmniejszenie wywołało surowe zakazy polowania. Do puszczy nie wolno było wjeżdżać z bronią, odjęto ją również i osacznikom; rozciągnięto nadzór nad samymi leśnikami, a kary za zabicie żubra były nader surowe. To też w r. 1829 liczba żubrów sięgała już 800, choć zbyt ścisły zakaz polowania wywołał inne złe. Wilki

mianowicie rozmnożyły się tak nadzwyczajnie, że w ciągu kilku lat pożarły kilkadziesiąt sztuk. Leśnicy nie śmieli chodzić po puszczy.

Jest dotąd tradycya, że wilki oblegały ich zimową porą nawet w chatach. Nocami ostępy brzmiały takiem wyciem, że całe wsie ogarniało przerażenie. Potem wydano leśnikom rozkaz wytępiania wilków, których liczba zmniejszyła się znacznie. Dziś są one rzadkością w puszczy i trzymają się tylko w części boru, zwanej Niezanowym Rogiem, który nawet w zimie, z powodu niezamarzających oparzelisk, jest prawie zupełnie niedostępny. Niewielka stosunkowo liczba dziś istniejących żubrów, da się wytłómaczyć poczęści złagodzeniem kary za zabijanie tych zwierząt, poczęści rozrastaniem się wsi. Jest ich w puszczy kilkanaście. Ludność wzrasta, osady rozszerzają się, ruch na drogach, wiodących przez ostępy, zwiększa się — nic więc dziwnego, że płochliwy zwierz cofa się w coraz głębsze uroczyska, nie czuje się swobodnym i nie mnoży się, jakby mógł, gdyby nic nie mąciło ciszy leśnej.

Chłopi obowiązani są stawiać zimą zebrane stogi z tomki i miodunki, ale stawiają je także w pobliżu wsi i dla swego bydła. Owoż żubry, zimą mniej płochliwe, częstokroć zachodzą i do

wiejskich stogów. Wówczas cała wieś wypada, krzyczy, strzela na wiatr i płoszy zwierzęta, które potem i do stogów dla siebie przeznaczonych, zbliżają się z obawą, lub nie zbliżają się wcale, zadawalniając się trawą, wydobywaną rogami z pod śniegu i przymierając głodem. Prócz tego łudziłby się, ktoby sądził, że dziś nie ma już kłusowników i szkód między żubrami. Wiemy od miejscowych ludzi, że na chrzciny, wesela i tym podobne uroczystości, do dziś dnia zastawiają w chatach żubrze mięso. Od każdego też chłopa, zaskarbiwszy sobie jego ufność, można nabyć rogi lub skórę, każdy bowiem jest potrochu kłusownikiem. Latem trudniej im wyprawiać się na łowy, ale zimową porą, w czasie zawiei, gdy szum wiatru głuszy strzał, a śnieg zasypuje ślady, wyprawiają się w saneczkach na upatrzonego i z podobnych wypraw rzadko wracają bez łupu.

Słyszałem też o pewnym żydku, zamieszkującym daleko od puszczy, który sąsiadującemu z nim obywatelowi ofiarował się sprzedać żywe ciele żubrowe. Obywatel propozycyę odrzucił, świadczy ona jednak, że kłusownicy nie są mytami, a wyniszczanie przez nich żubrów nie stało się li tylko tradycyą. Osadzić w puszczy tylko leśników,

przenieść z niej wsie gospodarskie i uczynić ją jednolitym borem - oto byłby środek, trudny wprawdzie, ale skuteczny do pomnożenia żubrów. Przekonanie zresztą, że nie mogą one żyć gdzieindziej, jak w puszczy Białowiejskiej, jest mylnem. Naprzód, kilkadziesiąt sztuk żyje w Świstockiej, oddzielonej od pierwszej Narwią — powtóre, mnożą się podobno na Szląsku u księcia de Pless, z kilku osobników, darowanych mu przed niedawnym czasem. Łączą się także z bydłem domowem i wydają dziwne potomstwo — potężne, z wysokim garbem nad przedniemi łopatkami, z szerokim łbem i bujnym zarostem czoła i brody. Póki małe, mieszańce owe są łaskawe i wesołe — z wiekiem stają się płochliwe, dziczeją i roztrącają swojskie bydło. Potomstwa dalej nie wydają, co dowodzi, że żubr jest odmiennym od naszego bydła gatunkiem.

Obliczanie żubrów odbywało się dawniej nader prostym sposobem. Cała puszcza była podzielona na dwanaście straży, które miały kształt trójkątów zbiegających się wierzchołkami we wsi Białowieża Nowa; podstawę zaś trójkątów stanowiły brzegi puszczy. Straże były następujące: Augustowska, Narewska, Browska, Hajnowska, Leśnianka, Starzyńska, Stołpowi-

ska, Krakowska, Okolnicka, Świetliczańska, Pobielska i Dziadowlańska. Każda była pod zawiadywaniem starszego leśnika i dzieliła się na ostępy, nad któremi czuwali młodsi leśnicy. Owóż gdy śniegi spadły, obliczano żubry w ten sposób, że każdy młodszy leśnik karbował na kiju wedle śladów wszystkie sztuki, które weszły do jego ostępu lub z niego wyszły. Te, które wyszły, powinny się były znaleść zakarbowane w sąsiednich ostępach, jako przybyłe.

Wieczorem składano wszystkie kije u nadleśnego i wówczas rachunek już był łatwy, bo żadna sztuka nie mogła być ani pominiętą, ani porachowaną dwa razy. Być może, że tego sposobu używają jeszcze i dzisiaj, o ile pozwala na niego nowy podział i nowe, odmienne gospodarstwo w puszczy.

Trafiliśmy właśnie na jakąś komisyę, która zabrała się do nader surowego obrachunku z miejscową administracyą. Ztąd złe humory i niepokój. Rzeczywiście, administracya tak olbrzymiego lasu nie jest łatwa, ale też bez zaprzeczenia ogromne skarby marnują się w puszczy. Sosny masztowe sprzedają się po pięćdziesiąt kopiejek — i dla trudności przewozu nikt ich kupować nie chce. Drogi wprawdzie są niezłe,

ale nie ma szos, a choćby i były, zawsze przy handlu drzewem komunikacya lądowa jest trudną i niepożyteczną. Rzeki puszczańskie bywają spławne w czasie przyboru wody — mało jednak wychodzi drzewa i niemi. Tymczasem wychodzić powinno, byle użytkowano z niego rozumnie i tamowano nadużycia.

Mniemanie, że dla dobra lasu należy go zostawić nietkniętym, jest mylne. Przedewszystkiem należy go czysto utrzymywać — a jakże pod tym względem wygląda puszcza? Oto na ogromnych przestrzeniach, wszędzie niemal leżą zwały drzew. Stosy te, spróchniałe i gnijące, piętrzą się czasem na kilkanaście stóp wysoko. Nad niemi jeszcze sterczą, jak domy, olbrzymie wykroty. Stare drzewo, padając, wyrywa całą przestrzeń ziemi, którą obejmowały jego korzenie. W wyrwanem miejscu tworzy się dół, w którym zbiera się woda deszczowa. Dziwny i przerażający widok przedstawiają takie ostępy: grunt porwany, pełen zasadzek, pnie, wykroty i suche, powykręcane rozpaczliwie gałęzie, które pokrywa mech lub plugawa wilgoć, wypełniają całą przestrzeń; wśród chaosu drzewnego, prześwieca bagno — wszystko razem pomieszane, połamane, zniszczone, dzikie, zmarłe i gnijące — oto obraz. Nawet po-

wietrze tam ciężkie, przesycone wonią próchna i zgnilizny.

Cisza! Słychać tylko kowanie dzięcioła, który wśród próchna znajduje łup obfity. Jestto ojczyzna skórników, gnieżdżą się one tu milionami. Ztąd przenoszą się na inne drzewa, toczą je, wysysają. Żubr i jeleń tu nie zachodzą, łoś tylko wyleguje się bezpiecznie w bagnisku.

Mimowoli przychodzą na pamięć słowa Mickiewicza:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko, albo bajka, wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem męstwem,
Dalej spotkać się z większem masz niebezpieczeństwem;
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich niedośledzą:
(Wielkie jest podobieństwo, że dyabły tam siedzą)
Woda tych studni lśkni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,

Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkiemi grzybami brodate,
Siedzą w około wody, jak czarownic kupa,
Grzejących się nad kotłem, w którym warzą trupa.
Za temi jeziorkami, już nietylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.

Ile szkody przynoszą puszczy takie ostępy — łatwo zrozumieć. Dodajmy do tego, że każde ze starych drzew, padając, łamie i gniecie w upadku dziesięć młodszych, zdrowych jeszcze. W Niemczech nie pozwalają starym olbrzymom usychać i umierać na pniu — tu, miejscami, na całych morgach, nad młodym lasem wznosi się las sosen uschłych. Nic posępniejszego jak wrażenie, którego się tam doznaje. Na drzewach nie ma nietylko igieł, ale i kory. Są to nagie, olbrzymie szkielety, poczerniałe od wiatru i słońca. Całość wygląda, jak jaki cmentarz leśny. Należałoby takie trupy uprzątać, nim zostaną trupami — bo, powtarzam, są to zmarnowane skarby, które zamiast korzyści, szkodę jeszcze przynoszą. Wartoby dla ich spławu i koryta rzek uregulować. Zysk ze sprzedaży opłaciłby robotę, administracyę i przyniósłby jeszcze czysty dochód.

Dlaczego tak się nie dzieje, trudno wiedzieć. Może rąk brak, choć, gdy się pomyśli, ile jest wsi w puszczy, jaka łatwość robotnika — i to przypuszczenie nie zdaje się prawdopodobnem. Może komisya obecna niejasne dotąd przyczyny wyjaśni?

Czas schodził nam wieczorami na słuchaniu głosów jeleni — we dnie na wycieczkach i zabieraniu znajomości z ludem puszczańskim.

Jeździliśmy na wózkach budników do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska. Niebo dopisywało nam znakomicie, dnie były prawdziwie jesienne, blade, ale pogodne, tą smętną i chłodną pogodą jesieni, która zdaje się być ostatnim uśmiechem słońca przed zimą. Zabarwiony na czerwono liść, spływał milionami z drzew na ziemię, napełniając puszczę szeptem łagodnym. W tej całej leśnej naturze bywały chwile takiego spokoju, jakiego napróżno szukać po za nią. Wśród tego spokoju możnaby zapomnieć o wszystkiem, nawet o sobie samym; można rozmiłować się w tej puszczy, którą jesień maluje w barwy rozmaite.

W głębokich przestrzeniach leśnych grają zielone, żółte i czerwone odmiany liścia, oblane bladem światłem dnia. Ileż tam tonów, ile odcieni, ile stopniowań i łagodnych połączeń ka-

żdej barwy, a nad wszystkiem jakaś melancholia jesienna. Taką wzorzystą puszczę widzieliśmy szczególniej podczas wycieczki do Zamczyska, w ostępie tym bowiem klon, dąb, sosna i inne drzewa, rosną w pomieszaniu obok siebie. Ostęp zwie się zamczyskiem, gdyż niegdyś stał tam zamek. Ale napróżno pytać ludzi i kronik: kiedy to było. Dziś są to kupy ogromnych głazów, między któremi wyrastają stuletnie drzewa. Czasem laska, wetknięta między dwa głazy, zapada nagle jakby w jakieś podziemie; czasem grunt się ugnie pod nogą, czasem uwagę zwróci dół czworoboczny; ubramowany głazami — widoczne ślady budowy — ale nic więcéj. Pod staremi drzewami szarzeje gęstwina umarłych dąbków i grabów, pokrytych srebrnym mchem. Tu rośnie także suchedrzewko, dziwna roślina, która wydaje się uschłą, a jednak żyje i rośnie. Chłopi mówią, że niema jej nigdzie za puszczą, w puszczy zaś upodobała sobie szczególnie tę miejscowość.

Kto stawiał zamek? Może Jadźwingowie, może który z książąt litewskich? Są to tylko przypuszczenia. Wieki przeszły nad tą ruiną i dziesiąte pokolenie drzew na niej wyrasta. Tylko baśń, jak nić pajęcza, czepia się gruzów. Budnik, któremu nocą wypadnie przejeżdżać koło Zamczy-

ka, przejeżdża szybko i żegna się. Mówią, że gdy jest ciemno i ciepło, błędny ognik skacze z kamienia na kamień; mówią, że są tam podziemia. Leśniczy Tołścik, człowiek dość wykształcony, z zupełną wiarą zapewniał nas, że raz znaleziono pieniądze, ale że się w chwili, gdy ich dotknięto, zapadły. Budnicy wierzą w to święcie i ktoby dłużej pobył między nimi, tenby zapewne mógł zebrać sporą wiązkę podań, a może i pieśni, które, jak „arka przymierza“ połączyły dawne lata z nowemi.

Na drodze do wsi Białowieży spotykasz się już nie z legendą, ale z tradycyą historyczną. Obok drogi wznosi się góra, zwana Batorowa. Każdy budnik opowie podróżnemu, że na szczycie jej zasiadł do uczty „bardzo mocny“ król, który przedtem kilka dni w puszczy polował i nabił żubrów i niedźwiedzi co niemiara, a do tego oszczepem.

W samej wsi Białowieża jest jeszcze wyraźniejszy ślad przeszłości. Wznosi się tam czworokątny słup kamienny, na którym czytasz napis, że Najjaśniejsze państwo, król polski, elektor saski z królową jejmością i królewiczami, polowali w puszczy i zabili 42 żubrów, trzynaście łosiów, dwie sarny i t. d. Są też wyryte i nazwiska urzędników, rozmaitych dygnitarzy litewskich i koronnych, oraz

gości saskich. Podana także waga największych sztuk ubitych.

Białowieża leży w samym środku puszczy; jestto ogromna wieś, mająca do 11 wiorst kwadratowych rozległości, zamożna, zamieszkała przez pomieszaną ludność mazurów, litwinów i rusinów. Nazwę swą zawdzięcza zapewne wieś, jak i cała puszcza, jakiejś białej wieży, która kiedyś musiała się tu wznosić. Kiedy? — nikt nie pamięta — i o ile mi wiadomo, niema również żadnych śladów piśmiennych. Gloger, który ich poszukiwał, nic nie odkrył. Chaty w Białowieży są obszerne, porządne, podobniejsze do dworków wiejskich, niż do zwykłych chat wieśniaczych. Lud bogaty, oświecony i dawnych czasów pamiętny. Podania, o czem niżej przyjdzie mi mówić, tkwią w pamięci tych leśnych ludzi bardzo żywo. W części wsi, leżącéj na drodze do Browska, dochował się starożytny budynek, w którym niegdyś trzymano sieci łowieckie. Wysokie i zczerniałe zręby jego wyglądają nader poważnie, w porównaniu z wielokolorową cerkwią, wzniesioną niedawno dla eksunijatów. Niedaleko od cerkwi wznosi się pawilon cesarski, trzymany w stylu wiejskich domów moskiewskich, z wysokim dachem, powycinanemi słupami i mnóstwem ko-

ronkowych ozdób, rzniętych w drzewie. W pawilonie ma być księga zawierająca malowane obrazy dawnych niefortunnych polowań, na których strzelcy, uciekając przed żubrami, zaczepiają się za wyloty od kontuszów o drzewa.

Sprzeciwia się to tradycyi o dawnych, olbrzymiej siły łowcach, którzy, chwyciwszy żubra za rogi, wywodzili go z ostępu.

Dzisiejsze polowania odbywają się prawie wyłącznie w zwierzyńcu, w którym łatwiej znaleść stada. Rozumie się także, że obecnie polowania z dzisiejszą bronią palną przedstawiają daleko mniej niebezpieczeństwa, niż dawniejsze, zwłaszcza, że na wielkich łowach używają zwykle kul pękających.

Cała wieś Białowieża jestto polny czworobok, otoczony ścianą lasów. Południowa strona stanowi brzeg uroczyska, zwanego Browsk. Być może, że nazwa ta jest skróceniem nazwy Bobrowsk, od bobrów, które dawniej licznie zamieszkiwały puszczę. Na Narwi, Narewce, Liśnie, Łętowni, oraz na strumieniach leśnych, były liczne żeremia. Obecnie i pamięć o nich zaginęła. Weszło teraz w modę zrzucać wszystko na złe i nieopatrzne gospodarstwo dawnych czasów, a jednak dawne prawa polskie opiekowały się bobrem nader starannie i sta-

nowczo. Wedle statutu litewskiego, kto miał choćby w cudzej ziemi kupione gony bobrowe, mógł żądać, by zwierzątek nie płoszono dla podorywki lub sianożęcia, gdyż bóbr straszony „traci przemysł, który społeczeństwu bobrów czyni go pożytecznym". Puszczańskie żeremia były najliczniej zamieszkałe, a gony bogate i w zapasy obfite. Nie było też sławniejszych skór, jak białowieskie i te płaciły się najdrożej. Obecnie słyszałem, że bobry trafiają się jeszcze na Polesiu, ale rzadko.

Administracya puszczy zasłużyłaby się prawdziwie, gdyby postarała się o sprowadzenie tych zwierząt, o osadzenie ich i rozmnożenie napowrót po rzekach i strumieniach. Trzebaby tylko, aby dzisiejsze prawo otoczyło je taką opieką, jak dawne polskie i litewskie.

W strażę Browską nie zapuszczaliśmy się zbyt głęboko, gdyż brak czasu stanął nam na zawadzie. Jest ona w znacznej części, przynajmniej z brzegu, pokryta czarnym borem. Nie widziałem tam także owych cmentarzysk, na których sterczą uschnięte i ogołocone z kory i liści sosny. Starodrzew wyniosły, ale zdrowy, jędrny. Igliwie obfite, tak, że dal nie jest różnobarwna, jak w innych okolicach puszczy, ale jednostajna, ciemna. Pod spodem czysto; knieja nie podszyta,

powietrze przesycone balsamem żywicznym. Jestto jedna z najpiękniejszych straży. Musi być tylko strzeżona pilniej od innych od ognia, gdyż bór łatwiej podlega pożarom, niż las liściasty. Sosna ma mniej wilgoci, a więcej żywicy od innych drzew i sosny też w razie wypadku zapalają się jedna od drugiej, jak świece. Pod tym względem porządek zachowywany w puszczy wiele przedstawia do życzenia i nagany. Rozkładanie ognia jest surowo wzbronione, ale pilnowane słabo. Wracając z Zamczyska widzieliśmy w lesie olbrzymią kłodę, buchającą płomieniem. Ogień wydrążył ją i potworzył sobie przeloty, któremi strzelał wysoko w górę. Poszedł on także na kilkanaście stóp wokoło i zatrzymał się dopiero u granicy mchów wilgotnych, któremi, na szczęście, miejscowość była otoczona. Odjechawszy, widzieliśmy jeszcze długo połyskującą wśród mroku łunę, jakoby kuźni, w lesie ukrytej.

Pożar jest najstraszniejszą klęską, jaka się tam zdarzyć może. W 1811 roku tłukł puszczę przez trzy miesiące, od czerwca do października. Ratunek wszelki nie zdał się na nic. Ostępy, pokryte drzewem iglastem, zapalały się od żaru i skier, nim płomień do nich doszedł. Ludzie założyli w końcu ręce i czekali zmiłowania bożego, które

też przyszło nareszcie pod postacią potoków deszczu. Ogień rozkładają najczęściej dzieci pasące bydło, bo starsi tego nie czynią. Chłop puszczański jest roztropny i bynajmniej nie lekkomyślny.

Lud ten zasługuje pod każdym względem na bliższą uwagę. Zamknięty w puszczy, odłączony rzecby można od reszty świata, uległ on mniej zewnętrznym wpływom, zachował więcej dawnych zwyczajów, tradycyj i cech dawnego bytu, niż mieszkańcy ziem puszczy przyległych. Lud to przytem, który nie znał nigdy pana — puszcza była królewska — więc spełniał tylko powinność względem króla, a zresztą siedział na woli. Wsie puszczańskie zamieszkane są przez litwinów, rusinów i mazurów. Ci ostatni, sprowadzeni przed wiekami dla wytapiania smoły, terpentyny i potażu, zamieszkują niektóre wsie całkowicie, w innych pomieszani są z litwą i rusinami. Puszcza, lub inaczej mówiąc, jednakie warunki bytu, wyrodziły i cechy jednakie w mieszkańcach, tak, że nie różnią się oni między sobą ni ubiorem, ni sposobem życia, ni typem twarzy.

Chłopi puszczańscy mają po większej części wysoki wzrost, są bardzo szczupli, niemal chudzi. Ubiór ich stanowi szara siermięga, sięgająca

kolan, płócienne szarawary i chodaki z łyka, przymocowane sznurkiem, okręconym koło nogi, czem nie różnią się zresztą od swych zapuszczańskich sąsiadów. Co mnie w nich uderzyło, to nadzwyczaj delikatna cera, jakiej gdzieindziej nie dostrzedz. Zawdzięczają ją oni zapewne życiu w cieniach i mrokach leśnych. Mniej wystawieni na działanie promieni słonecznych, mniej się też opalają. Jasnowłosych nie wielu pomiędzy nimi widziałem. Prawie wszyscy mają ciemno-blond włosy i wielkie, zamyślone, niebieskie oczy. Są to twarze ładne, a zwłaszcza sympatyczne, o rysach bardzo drobnych i uduchowionym wyrazie. Lud to trzeźwy, gościnny i nadzwyczaj pobożny. Po zniesieniu kościoła w Narewce, mają teraz cztery mile do swej parafii w Narwi, a jednak jeżdżą do kościoła, jak tylko mogą najczęściej. Mieszkańcy Bud są wszyscy katolicy, mieszkańcy Białowieży po większej części. Nie brak tam jednakże i eksunitów. Ludność Teremissów, Orzechowa, Hurynowa, Skopowa, Narewki, Mielnika, Niemierzy, Tuszelmy etc., jest przeważnie mazurska. Puszczę swoją kochają wszyscy nad życie i zdają sobie z tego sprawę. Ponieważ była między nami mowa o tem, że dla zwierzostanu puszczy lepiejby było przenieść wsie na zewnątrz niej, spy-

taliśmy powożącego nas budnika: czyby nie zgodzili się na to, gdyby im dano dwa razy więcej ziemi.

— Za nic, panie! — odpowiedział swoim śpiewnym, pieszczonym głosem. — W puszczy najlepiej; a tam tak goło... widno... Ot, żeby panowie wiosną przyjechali, to u nas ślicznie. Ach! ach!

Jeżeli o litwinach mówią, że przeciągają, to przeciąganie to w puszczy dochodzi u mazurów i nie-mazurów do takiego stopnia, że się uszom nie chce wierzyć. Między innemi opowiadaliśmy naszemu budnikowi o jubileuszu częstochowskim. Słuchając, wznosił swoje śliczne błękitne oczy do góry i powtarzał z zachwytem: „Ach Boże! Boże!“ — ale wymawiał: Ach Buuoooże! Buuuoooże! Jestto już nie przeciąganie, ale poprostu śpiew.

Na zapytanie czy: umie czytać, odpowiedział:

— Panie! u nas ani jednego niema we wsi, coby się z książki nie modlił.

Jestto nawet dziwne u ludu tak zamkniętego, tak oderwanego od reszty świata, a jednak prawdziwe. Kto ich uczył i kiedy? Uczą się sami. Mają nauczycieli i płacą ich dobrze, a mogą, bo prawie wszyscy są nader zamożni. Uważali się

zresztą po wszystkie czasy za coś lepszego od pańszczyźnianych, a za równych drobnej szlachcie, więc uczyli się czytać.

— My, panie, byli królewscy ludzie, wolni — mówił nasz przewodnik. — Do nas jeszcze i z okolic „wciekali", bo jak kto wciekł, tak my nie wydawali, ale bronili. Tu u nas wola była...

Za owych dawnych czasów uciekało rzeczywiście i wielu pańszczyźnianych „pod królewską rękę". Jechać ich tam szukać było trudno i niebezpiecznie. Z tych to powodów legenda otoczyła wspomnienie króla jakimś urokiem opieki, miłosierdzia, wielkości i dobroci. Do dziś opowiadają sobie w chatach, przy świetle łuczywa, o wielkich łowach królewskich, o zjazdach, o złocistych karetach i rycerzach, którzy je otaczali. W jednostajnem puszczańskiem życiu pamięć trwa długo, bo nie ścierają jej zewnętrzne wrażenia. Lud ten żył przez całe wieki nader spokojnie; zmiany, które gdzieindziej wstrząsały bytem wieśniaczym i sprowadzały niejednokrotnie rozbrat między dworem a chatą, tu, dla samego już braku dworów, nie odbijały się wcale. Tu chłop od wieków władał ziemią, więc nowsze czasy nie przyniosły nic nowego. Może dlatego na ubranego w sur-

dut wędrowca patrzą tu ciekawie, ale witają go serdecznie, jak gościa, ale i swojego zarazem.

Więcej zmian wprowadziły nowsze czasy w kaście dawnych leśników. Mówię: w kaście, gdyż urzędy te przechodziły przez wieki całe z pokolenia na pokolenie. Dziś wielu jest między nimi ludzi ze stron dalszych, wszystkich jednakże niepodobna było zastąpić, bo ażeby znać puszczę i umieć sobie w niej radzić, trzeba się w niéj wykołysać. Próbowano zastąpić miejscowych osadników mieszkańcami innych dalekich lasów i razu pewnego sprowadzono tych ostatnich, jako nadzwyczaj biegłych, na jakieś wielkie polowanie. Ale cóż się stało: oto odrazu wszyscy pogubili się w puszczy i łowy nie udały się zupełnie. Nasz budnik opowiadał nam o tem z pewną dumą.

— Kto panie puszczy nie zna — mówił — a zjedzie z drogi, ten i przepadł. U nas złodziej konia nie ukradnie, bo ucieka drogą, to go złapiem, a zjedzie, to będzie trzy dni jeździł i nie wyjedzie... Tak, panowie!

Jaka szkoda, że ten, tak ciekawy lud, tak mało jest dotąd zbadany pod względem bytu, obyczajów, obrzędów i pieśni. Zadanie wdzięczne, dotąd nie spełnione, czeka na podróżnika — badacza.

Również nie dość znaną dotąd jest cała puszcza,

a niezawodnie zawiera ona prawdziwe skarby zwierzęce i roślinne, ukryte jeszcze w znacznej części.

Byłbym szczęśliwy, gdyby moje opowiadanie mogło kogo zaciekawić i zachęcić. Inne części kraju znane są lepiej, a może nie są tak ciekawe, tak odrębne, może nie tworzą takiego zamkniętego w sobie świata. Mnie i moim towarzyszom miłoby było dłużej z ludem i puszczą przestawać, poznać wszystkie jej zakąty i tajemnice, zanurzyć się w nią głębiej, zżyć się z nią lepiej, ale po kilku dniach musieliśmy niestety zaśpiewać mohortową piosenkę:

„Czas do domu, czas!
„Zabawili nas!“

Przytem niebo zawlokło się chmurami i począł padać deszcz, obfity a uparty. Zasępiła się cała puszcza i zaszła mgłą... Bagienka wezbrały. Niepodobna było robić wycieczek. Słotna jesień zastępowała pogodną... Siedliśmy tedy na nasz wóz podróżny i po kilku godzinach wyjechali na świat otwarty.

Otoczyły nas znowu równie senne. Budnik miał słuszność: widno na tych równinach i nago... Myśl też chętnie wraca do tych lasów odwiecznych i pióro chętnie dzieli się wrażeniami z czytelnikiem...

WYCIECZKA DO ATEN.

.... Wyjeżdżając ze Stambułu do Aten, na francuskim statku Donnaï, miałem przed sobą najpiękniejszy widok, jaki w świecie mieć można. Dżdżyste od kilku tygodni niebo wypogodziło się nakoniec zupełnie i zarumieniło się wspaniałą zorzą wieczorną. Pobliski brzeg azyatycki zalany był światłem; Bosfor i Złoty Róg wyglądały, jak olbrzymie ogniste wstęgi, a Pera, Galata i Stambuł, ze swemi wieżami, z kopułami i minaretami meczetów, tonęły w złocie i purpurze.

Donnaï zwrócił dziób ku morzu Marmora i począł burzyć zlekka wodę, przeciskając się ostrożnie wśród natłoku statków parowych, żaglowców, łodzi, łódek i kaików. Konstantynopol jest jedną z lepszych ostoi morskich w Europie, to też u stóp tego miasta, panującego ze stro-

mych wiszarów dwom morzom, roi się drugie miasto — okrętów. Jak nad tamtem minarety, tak nad tem sterczą maszty — nad niemi zaś tęcza chorągwi. I nie jest ono mniej gwarne. Tu, jak tam, mieszanina języków, ras, barw skóry, strojów. Ujrzysz tu wszystkie typy, jakie tylko zamieszkują przyległe trzy części świata, począwszy od Anglików, skończywszy na półdzikich mieszkańcach Azyi mniejszej, którzy ściągnęli do stolicy, aby jako „kaidży“ zarabiać na kawałek chleba.

Minęliśmy przylądek, za którym wznosi się Stary Seraj.

Pera, Galata i Stambuł poczęły zlewać się w jeden spiętrzony gród, którego krańców oko nie sięga. Ni Neapol, ni żadne inne miasto w świecie, nie może się równać z tą przepyszną panoramą. Wszystkie opisy, począwszy od Lamartina aż do Amicisa, są tylko bladem odbiciem rzeczywistości, bo słowa ludzkie są jeno dźwiękiem, więc ni barw, ni tych kształtów — to smukłych i powietrznych, to olbrzymich i groźnych — oddać nie potrafią. Chwilami zdawało się, że cały gród zaczarowanych pałaców wisi w powietrzu, to znów byłem pod wrażeniem takiego majestatu, ogromu i potęgi, jak gdyby

z tego miasta dotychczas jeszcze szedł strach na całą Europę i jakby w wieży Seraskieratu dziś, tak samo jak ongi, ważyły się losy świata.

Z morza Marmora już tylko największe budowle rozróżnić można gołem okiem; więc, prócz starego Seraju, część murów Jedykuły z siedmiu wieżami, świętą Zofię, Sulemanje i wieżę Seraskieratu. Zwolna stopy miasta zasuwają się coraz bardziej pod wodę: kryją się naprzód mury obwodowe, potem niższe szeregi domostw, potem wyższe, potem meczety i ich kopuły. Miasto zdaje się tonąć. Na niebie ściemnia się także — tylko na strzeliste minarety padają jeszcze ostatnie czerwone i złote blaski. Rzekłbyś: tysiące olbrzymich świec, zapalonych nad niewidzialnym już grodem.

Jestto godzina, w której muezinowie wychodzą na ganki i wzywając wiernych do modlitwy, oznajmują na cztery strony świata, że Bóg jest wielki i że noc boża pada na ziemię.

Jakoż nadchodziła noc, nietylko boża, ale pogodna i gwiaździsta. Jestto pora rozmyślań, a że losy przyszłego pokoju lub wojny ważą się istotnie w okolicach tych cieśnin, więc trudno się obronić przewidywaniom politycznym. Jednakże nie będę się niemi zajmował. Niech to czynią

dzienniki. Jeżeli przyszłość kłam im zada — sądzę — nie zniechęci ich do tego fachu. Mnie, jako powieściopisarzowi, nasuwa się na myśl uwaga natury bardziej literackiej, którą zresztą rzucam tylko nawiasowo.

Oto, przyszło mi do głowy, że te blaski zorzy wieczornej, te morza płonące, pałace i minarety skąpane w purpurze i złocie, są czemś zupełnie równie rzeczywistem i realnem, jak psy zdechłe, leżące dziesiątkami po ulicach Stambułu. Istnieje wszakże szkoła powieściowa, której przedstawiciele, a zwłaszcza szary ich koniec, woli opisywać psy zdechłe, niż niemniej realne zachody słońca, błękitne roztocze morskie i podobne cudne widoki. Dlaczego? Zapewne istnieją rozliczne przyczyny, ale między niemi niezawodnie i ta, że do odmalowania piękna w całym jego blasku, potrzeba mieć więcej siły i więcej farb na palecie, niż do odmalowania obrzydliwości — i że wogóle łatwiej jest poruszyć ślinę, niż duszę.

Ale nie zamierzam prowadzić polemiki; dlatego wspomniałem o tych rzeczach tylko nawiasowo, poczem idę za biegiem okrętu. Statki pocztowe, wychodzące wieczorem ze Stambułu, stają o brzasku w Dardanellach, a świtaniem wychodzą na Archipelag. Jesteśmy więc w Dardanel-

lach. Statek posuwa się wśród dwóch wązkich brzegów, na których widać forty i czarne paszcze dział, wyglądające z obu stron na cieśninę. Po chwili stajemy, bo statek przed wyjściem z tej gardzieli musi okazać papiery i wylegitymować się: zkąd i dokąd płynie. Brzegi wydają się jałowe, zarzucone skałami, które, wietrzejąc, kruszą się i tworzą osypy kamieniste. Krajobraz cały, lubo właśnie słońce wschodzi w tej chwili i wyrzeźbia ślicznie wszystkie jego zarysy, wydaje się smutny i ubogi. Sama cieśnina węższa od Bosforu, a nawet od Wisły. Po prawej stronie bieleją domostwa Gallipoli, których nędzę i opuszczenie zdaleka nawet poznać można. I znów przychodzi na myśl pytanie, które na wschodzie przychodzi niemal wszędzie — w Ruszczuku, w Warnie, w Burgas, w samym Stambule: zali to są te kraje, o które wylało się już tyle krwi ludzkiej, że możnaby nią całą tę cieśninę wypełnić? Zali dla tych miast, nawpół zapadłych w ruinę, zamieszkałych przez nawpół żebraczą ludność, dla tych jałowych pól, bezpłodnych skał, wydają się miliony, utrzymują się olbrzymie armie — i życie upływa pokoleniom ludzkim w niepewności dnia i godziny? W Dardanellach tembardziej każdy musi sobie zadać to pytanie. Są

okolice, których głównym wyrazem jest dzikość, albo melancholia — ale nie zdarzyło mi się widzieć krajobrazu, któryby tak wyraźnie mówił: jestem starością i wyczerpaniem się, jestem opuszczeniem i nędzą! A jednak w tej cieśninie leży jądro całej kwestyi. Nie tyle chodzi o Bosfor, nietyle o sam Carogród, ile o Dardanelle. Ta wązka szyba wody, ten skalisty kurytarz, jest jedynem oknem i drzwiami, które z tych stron na świat prowadzą.

„Czy pan czytałeś o owych sznurkach (mówił do mnie towarzysz podróży, anglik), które sułtanowie posyłali niegdyś wielkim wezyrom lub niefortunnym wodzom? Otóż ta cieśnina jest takim sznurkiem: można nim zadusić morze Czarne i sam Konstantynopol".

Tymczasem wjechaliśmy na Archipelag, na owo morze przesławne, o którem starożytni Grecy mówili, że jest obrazem nieba, bo tak samo jest usiane wyspami, jak niebo gwiazdami. Prawdopodobnie dlatego dali mu nazwę Arcymorza. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą skały Lemnos, pierwszej wyspy, którą dostrzega się po wyjściu z przesmyku. Nieco na północ rysowała się również wyraźnie perłowa Imbro, z drugiej strony, bliżej azyatyckiego brzegu, Tenedos. Po-

wiewa tu jeszcze chorągiew proroka, ale nad całym Archipelagiem unosi się duch starogrecki, starogreckie podania i pieśni. Może pod wpływem tych wspomnień brzegi owe wydają się jakieś odmienne od tego, co się poprzednio widziało, i odpowiadające owym konturom, któremi wyobraźnia określa brzegi greckie. Nagie to wszystko, co widać, bezpłodne, równie jak okolice Dardanellów; ni drzew, ni mieszkań ludzkich; ziemia szaro oliwnego koloru, jakoby spalona i wypłowiała od słońca — ale porozciągana w długie i śmiałe linie proste, niby elementarne pierwowzory porządku doryckiego. Wzgórza piętrzą się jedne nad drugiemi — tu i owdzie wyskakuje w górę ledwie widzialny w błękitnej zasłonie oddalenia szczyt jakiegoś wiszaru; dalej gląb' całkiem przesłonięta. Nad wszystkiem prosta i poważna melancholia. Niegdyś, wedle podania, w wulkanie Lemnu biły młoty Hefajsta. Może tu właśnie wykuwał sławną tarczę Achillesa? Dziś cicho w kraterze Mosychlosu — bo wulkan wygasł i tylko podanie przeżyło wulkan i samego bożka.

Na prawo i na lewo ciągle widać wyspy, których wyliczaniem nie będę trudził niczyjej uwagi i pamięci. Wzrok na Archipelagu sięga dalej, niż

na innych morzach europejskich. Nawet odleglejsze wyspy widzi się tak czysto i wyraźnie, że można odróżnić niemal każdy załamek skały i zarośla, pokrywające zręby wiszarów. Tyle tu światła leje się z nieba na ziemię, że i Włochy same nie mogą dać o tem pojęcia. Morze i niebo nietylko są lazurowe, ale i świetliste; gdzieindziej słońce świeci i pali, tu zdaje się przenikać cały krajobraz, wsiąkać weń, nasycać go i stapiać się z nim, wyłączając zupełnie wszelki cień. Dlatego nic tu nie rysuje się tak twardo, jak naprzykład nad brzegami morza Śródziemnego. Wszelkie zarysy, na które oko pada, są jednocześnie i niezmiernie wyraźne i mimo tego miękkie, bo objęte jednym tonem, zarazem przejasnym i łagodnym.

Arcymorze nie zawsze bywa spokojne. Te same wichry, które zaniosły aż do cyklopów nawę Odysseusza, pędzą czasem nakształt rozhukanych koni między wyspami; fala grzmi i ciska białą, jak śnieg, pianą aż na szczyty skał pobrzeżnych. Ale w chwili, o której mówię, błękitna roztocz była wygładzona, jak zwierciadło, i tylko za statkiem ciągnął się szeroki pienisty gościniec. Przez cały dzień nie powiał najmniejszy wiatr. Statek szedł, jakby po jeziorze, to też pokład roił się od podróżnych. Nie brakło nawet

wykwintnych sukni kobiecych, bo atenki, więcej jeszcze od innych cór Ewy, lubią przy każdej sposobności nakładać na siebie co mają najlepszego.

Ów raut na pokładzie trwa do późnego wieczora. Grecy łatwo zawierają stosunki, może dlatego, by swej gadatliwości dogodzić. Grzeczność ich jest nawet zbyt natarczywą, aby mogła być szczerą. Wogóle chełpią się przytem bez miary, nietylko swą dawną, ale i dzisiejszą cywilizacyą. Co chwila wyliczają cudzoziemcowi greckie znakomitości dzisiejsze, naukowe i artystyczne, znane niby i głośne w całej Europie — i dziwią się, jeżeli ktoś o nich nie słyszał. Ten a ten malarz pogrążył zupełnie Gèrome'a swoim ostatnim obrazem; ten a ten uczony na kilka lat przed Pasteur'em począł szczepić wściekliznę, co, mówiąc nawiasem, było tem dziwniejsze, że choroby tej nie masz na południu. Słuchając ich, sądziłbyś, że jak niegdyś Bóg spełniał swoje czyny przez Franków, tak dzisiaj z daleko większym skutkiem posługuje się Grekami. Jeżeli coś kapitalnego staje się na świecie, szukaj dobrze, a znajdziesz Greka.

Noc na Archipelagu równie jest piękna, jak dzień. Takie noce zwał Homer „ambrozyjskiemi“.

Stopy wysp obwijają się w mgłę leciuchną, ale księżyc bieli szczyty gór; zresztą żadnej chmurki na niebie — a morze całe w szlakach srebrnych. Jeden, najszerszy, utworzon przez księżyc — inne od gwiazd. Zjawisko to, na północy nieznane; ale na południowych morzach widziałem niejednokrotnie te srebrne gościńce a raczej pasma, igrające od gwiazd na wodzie. Płyniemy wśród ciszy takiej, że słychać każdy obrót śruby. Na widnokręgu dostrzedz można kilka statków, a raczej latarnie ich, podobne zdala do różnokolorowych chwiejnych punktów, pozawieszanych w powietrzu.

Statki owe płyną po większej części tak, jak i my — do Pireus, w którym staniemy na świtaniu. Jakoż o pierwszym brzasku śruba przestaje huczeć i nagła ta cisza budzi wszystkich. Ubrawszy się, wypadamy pośpiesznie na pokład — Pireus — Attyka.

Przypuszczam, że nawet najobojętniejszy człowiek z pewnem wzruszeniem staje na tej ziemi, w obliczu Aten. Kiedy w swoim czasie odniesiono Papieżowi wielką chorągiew całego Islamu, zdobytą pod Wiedniem i żądano w zamian relikwij, Papież odrzekł posłom: „Nie wam relikwij prosić potrzeba; weźcie garść ziemi waszej, bo ona tam

cała krwią męczeńską przesiąknięta". Tak o tej ziemi attyckiej powiedziećby można również, że każda jej garść przesiąknięta myślą i sztuką grecką. Przypominacie sobie zapewne z drugiej części *Fausta* „macierze" — owe pierwokształty i pierwowzory wszystkiego, istniejące poza światami, przestrzenią, tak uroczyste w swoich nieokreślonych samotniach, że aż straszne. Attyka, nie będąc nieokreśloną, ani straszną, jest przecie intelektualną macierzą całej cywilizacyi. Bez niej nie wiadomo, gdziebyśmy byli i czembyśmy byli. Jest ona słońcem świata starożytnego, a po swym zachodzie dziejowym pozostawia jeszcze blask tak mocny, że z tych promieni narodzi się renesans po średniowiecznej pomroce. Mówię: Attyka, zamiast Grecya, bo czem Hellada była dla świata, tem Attyka dla Hellady. Jednem słowem, wstępując na tę ziemię, jesteśmy u źródła. Inne cywilizacye na sąsiednim, azyatyckim i afrykańskim lądzie, wśród innych szczepów, wyhodowały się na potwory — grecka jedynie pozostała człowiekiem; inne gubiły się w fantasmagoryach — ona jedna przyjęła za podstawę wiedzy i sztuki świat realny, a jednocześnie umiała z tych pierwiastków, czysto realnych, wytworzyć najwyższy ład, prawdziwie boską harmonię. Umiała być boską, nie

przestając być ludzką — i to objaśnia jej znaczenie.

W chwili, gdym wstępował na tę ziemię, na niebo wstępowała właśnie „różanopalca“ jutrzenka. Z Pireus do Aten można jechać koleją, ale nierównie lepiej jest wziąć powóz i widzieć dokładniej wszystko, co się da zobaczyć w ciągu pół godziny po drodze. Droga z Pireus, wysadzana po obu stronach platanami, idzie wśród tak zwanej równiny attyckiej, którą skrapia, a raczej mógłby skrapiać — Cefizus. Każda nazwa budzi tu w pamięci echa i wspomnienia historyczne. Gdyby nie to, Cefizus zresztą nie budziłby zbyt wielkiego uszanowania, bo jak w Polsce są takie mosty, których nie ma, tak i Cefizus jest taką rzeką, której nie ma — to znaczy, że w jego wyschłem i spieczonem korycie nie sączy się ani jedna kropla wody. Równina jest wązka. Po lewej ręce, w kierunku zatoki Eleuzyjskiej, widzisz góry Dafni i Poikilon, po prawej miodonośny Himetes i Pentelikon, który dziś jeszcze, jak i dawniej, dostarcza Atenom marmurów. Kraj wydaje się spalony słońcem, pusty, bezpłodny. Pola, wzgórza i skały mają ton popielaty, niezmiernie delikatny — z odcieniem nieco błękitnawym. Jest to barwa, w którą w Grecyi sta-

piają się wszystkie inne i przeważa ona wszędy — na wyspach, równie jak na lądzie.

W pół drogi, lasek oliwny, zdaje się być także przytrząśnięty mdławym popiołem. Nad tem wszystkiem zwiesza się błękit bez chmurki, nie tak modry, jak we Włoszech, natomiast, jak już wspomniałem, stokroć świetlistszy. Ziemia — niby podarta. Opoka wietrzeje, kruszy się i rozsypuje. Nadaje to całej okolicy pozór ruiny i pustki. Ale dobrze jej z tem. Do twarzy jej ta cisza i zgrzybiałość, te senne laski oliwne i bezpłodne skały.

Główna droga idzie do dworca kolei, leżącego na końcu ulicy Hermesa, ale w pobliżu miasta powóz skręca na prawo i wjeżdżamy na bulwar, wysadzany pieprzowemi drzewami. Wówczas na stromej skale dostrzegasz szereg złotawych kolumn, połączonych wyszczerbionemi architrawami. Wszystko to rumiane od jutrzenki, rysujące się z nieopisaną słodyczą i czystością na niebie, niezbyt wielkie w rozmiarze, wielkie nad wszelką miarę w harmonii, spokojne, poprostu: boskie.

Drogman, siedzący na koźle, odwraca się i mówi:

— Akropolis!

Bliżej góry, na Ceramiku, wznosi się świątynia Tezeusza, stosunkowo najlepiej zachowana

ze wszystkich pamiątek starożytnego świata. Potem, co krok, jakieś szczątki: mury pelazgickie, skały Pnyxu, grota Sokratesa i inne, wyglądające z pośród skał czarnemi otworami na światło dzienne. Pod samą górą krawędź wiszaru zasłania linie Parthenonu; widzisz natomiast cały bezład ruin Odeonu Heroda i teatru Bachusa. Oko biega z jednego złamu na drugi; wyobraźnia pracuje, pragnąc odtworzyć ubiegłe życie; myśl nie może ogarnąć wszystkiego i mimowoli ograniczasz się do prostego przyjmowania wrażeń. Czujesz tylko, że tu naprawdę warto przyjechać, że tu nie będzie pobieżnego oglądania ruin z „Baedekierem“ w ręku i pragnieniem w duszy, by coprędzej wrócić do hotelu. Ale powóz mija aż nadto szybko te półboskie głazy — i nagle jesteśmy w nowem mieście, w nowych Atenach.

Pomówmy więc o niem, zanim wrócimy do Akropolis.

Przyjechałem tak przygotowany na wschodnie brudy, na owe stambulskie brudy, przechodzące siłę nerwów przeciętnego człowieka, że doznałem najprzyjemniejszego zawodu. Naprzód, to nieprawda, że w Atenach widzi się o tyle zieloność, o ile podadzą sałatę na obiad. Może właśnie dlatego, że w kraju jej mało, miasto wysiliło się,

aby swoje ulice i place ocienić drzewami. Wjeżdżałem do miasta koło Akropolu i Olimpijonu, przez bulwar panhelleński, który jest jedną zieloną wstęgą. Pieprzowe drzewa, o jasno-zielonych delikatnych listkach, przypominają wierzby płaczące i nadają tej drodze wiosenny, majowy pozór. Wszędy widzisz ogrody, w nich palmy, czarne dęby, kaktusy i aloesy. Prawda, że wszystko to okryte jest szarym pyłem, idącym od skał i ruin, jakby te umarłe zabytki chciały mówić każdej żyjącej istocie: „prochem jesteś i w proch się obrócisz“ — można tu jednak już dziś znaleść wszędzie cień i chłód. Główne ulice miasta są szerokie, domy duże, oślepiającej białości, bogatsze wykładane marmurem, który dotąd wydobywają z nagich boków Pentelikonu. Budowle te nie są pozbawione ni wdzięku, ni lekkości. Wyjątek stanowi pałac królewski. Ściany jego także są z pentelickiego marmuru, ale styl ciężki, koszarowy, sprawia, że rezydencya ta nietylko nie jest ozdobą głównego placu Konstytucyi, ale go szpeci. Na domiar — za pałacem i z jednego boku leżą wprawdzie okazałe królewskie ogrody, natomiast przed pałacem szarzeje prawdziwa pustynia, ciągnąca się aż do głównego miejskiego wirydarza. By nic nie psuło wrażenia

pustyni, stoją na niej duże palmy, wyniosłe, odrzynające się twardo wśród pustoszy. Dodawszy araba z wielbłądem, możnaby sobie wyobrazić, że się jest w Egipcie. Zresztą miasto jest jasne, schludne i zupełnie europejskie, ale budujące się pod łatwo zrozumiałym wpływem i na wzór dawnych porządków architekturalnych greckich, co mu nadaje pyszny pozór. Wszędzie spostrzegasz kolumny doryckie, jońskie i korynckie; fryzy, które począł rzeźbić człowiek, a dorzeźbia słońce. Uniwersytet, a zwłaszcza Akademia sztuk pięknych, ma wspaniałe i harmonijne kształty greckiej świątyni.

Wedle portyku wznoszą się dwie potężne kolumny z pentelickiego marmuru o złoconych eschinusach i abakach. Na jednej stoi olbrzymia Pallas Athene, w hełmie na głowie i z włócznią w ręku, na drugiej równie olbrzymi Apollo z formingą. W nocy, przy blasku księżyca, te marmury wydają się jasno-zielone, tak czarująco leciuchne, jakby nie ciężyły ziemi. Może specyalista budowniczy zarzuciłby to i owo tym budowlom, ale bądź co bądź, stanowią one dekoracyę miasta, jednę z najpiękniejszych, jakie zdarzyło mi się widzieć.

Bogatszą część miasta, to jest bliższą placu Konstytucyi i pałacu królewskiego — zatem bulwar panhelleński, bulwar uniwersytecki, ulicę Stadin i wiele przyległych, aż do placu Zgody — zbudowali bogacze greccy, zamieszkujący już to Fanar stambulski, już to Odessę, Marsylię i inne portowe miasta. Ludzie ci, przy wrodzonej Grekom zdolności do handlu, dorobili się milionowych fortun, ale — należy im oddać tę sprawiedliwość — nie zaprzedali ducha greckiego. Odeski lub marsylski wekslarz, który mógł uznać się za potomka Milcyjadesa i powołać na Maraton, Leonidasa — i powołać na Termopile, Temistoklesa — i powołać na Sulaminę, Fidyasza lub Apellesa — i powołać na ruiny Akropolu – zyskiwał to, czego za żadne w świecie pieniądze kupić nie można. I oto k'woli temu uznaniu, k'woli tej sławnej przeszłości, płynęły do Attyki miliony ze wszystkich krajów; wśród dzikich wąwozów powstawały koleje żelazne i bite drogi; w miastach, zamieszkałych przez dzikich palikarów, zakładano szkoły, a na ruinach starych Aten — nowe Ateny.

Kupcy i handlarze dzisiejsi osiedli przeważnie wzdłuż ulicy Hermesa, który, jak wiadomo, jeszcze za czasów Zewsa był patronem kupiectwa.

Wogóle cała dolna część miasta, ku Garze i Ceramikowi, jest pod jego patronatem. Tu leży bazar, przypominający inne wschodnie bazary; tu roi się ludność ruchliwa ogromnie, giestykulująca i mówiąca tak głośno, jakby pragnęła odurzyć przechodnia. Życie i handel odbywa się na ulicach, jak wszędzie w południowych miastach; wieczorem, gdy skończy się upał dzienny, ruch największy. Sklepy otwarte do późna. Płomieniste kiście gazu oświecają składy towarów, przepysznych owoców i kwiatów.

Od godziny jednak czwartej, nietylko na ulicy Hermesa i w części handlowej miasta roją się tłumy; ale pełno ich i w bogatych dzielnicach. Odof Stadin, przy której mieszkałem, jest modnem miejscem przechadzek, bo w porze przedpołudniowej, na chodnikach, trudno się było przecisnąć, a środkiem postępowały powozy jedne za drugiemi. Kobiet mniej tu wszakże, niż mężczyzn, zwłaszcza między pieszymi. Może to resztki wpływów wschodnich, a może zwyczaj zamykania kobiet po domach powstał i utrwalił się za czasów tureckich, gdy młodej kobiecie niezbyt było bezpiecznie narzucać się oczom bim-baszich i bejów? Mało tu zresztą pięknych twarzy między kobietami. Typy to raczej ormiańskie, niż greckie.

Czasy Fryne i Lais są dalekie i żaden areopag nie uniewinniłby dzisiejszej greczynki tylko k'woli jej wdziękom. Czytałem, że mieszkanki Megary i dawnej Lakonii, oraz niektórych wysp, przechowały dawny typ helleńskiej piękności, ale w Megarze tego nie dostrzegłem, a nad brzegami Eurotu, ni na wyspach, nie byłem.

Za to między mężczyznami widzi się wiele postaci, zarazem pięknych i dzikich. Zapewne, że jasnowłosy Achilles inaczej musiał wyglądać; ale tak mógł wyglądać Kanaris. Wielu też nosi jeszcze kostyum albański, składający się z pustanelli, to jest białej, sięgającej prawie do kolan spódniczki, fezu i kaftana, zahaftowanego zupełnie jedwabiem lub złotem. Biodra ich otacza pas, za który zatykali dawniej cały arsenał handżarów i pistoletów, a w którym noszą dziś chustkę od nosa. Jednakże, mimo tej chustki, która jest niezaprzeczonym, w stosunku do dawniejszych czasów, postępem, są to zresztą zawzięci konserwatyści i przeciwnicy wpływów zachodnich. To też tak ubranych spotyka się przeważnie starców. Jednakże na wzór owych palikarów poprzybierano całe oddziały wojska i to nadaje miastu odrębny od innych miast pozór.

Grecy, mieszkający po wsiach, mimo rozbój-

niczych instynktów, które jakoby nie wszędy wygasły, są podobno uczciwi, pracowici i wierni zobowiązaniom; mieszkańcy miast mają ustaloną w całym świecie wcale nieszczególną opinię. Bawiąc między nimi niespełna miesiąc, sądzić o tem z własnych spostrzeżeń nie mogę. Ale nawet tak krótki pobyt wystarcza, aby zauważyć, że w żadnem innem mieście, ni kupcy, ni właściciele gospód, ni przewodnicy, ni wynajmujący konie lub powozy, ni wekslarze, nie mówią tak dużo o swej uczciwości, jak w Atenach. Wydaje się to trochę podejrzane.

Nowsi podróżnicy, którzy albo spędzili dłuższy czas w Grecyi, albo którzy po krótszym mają odwagę wypowiadać stanowcze zdanie, wypowiadają o Grekach wogóle sąd ujemny.

Zmarły niedawno Edmund About napisał o Grecyi płytką, ale ciekawą i pełną dowcipnych spostrzeżeń książkę. Jednakże złośliwy „wnuk Voltaire'a", jak go nazywano, mimo, iż stara się być bezstronnym, ocenia zbyt szydersko potomków dawnego ateńskiego Demosu. Podług niego, Grecy dzisiejsi pochopnością do kłamstwa mogliby zawstydzić swego praojca Ulisesa, jego opiekunkę Pallas Atenę i dawniejszych kreteńczyków, którzy podług Epimenidesa tak celowali

w tej sztuce. Są przytem chciwi nad wszelki wyraz; ludzi innych narodowości znoszą o tyle, o ile mogą ich obdzierać. Pod względem odwagi, Kanaris, według Abouta, był wyjątkiem i dlatego o nim tak głośno, Grecy zaś wogóle są tchórzami. About posuwa się nawet tak daleko, iż twierdzi, że zawsze nimi byli, nawet za czasów oblężenia Troi. Brak im wreszcie zupełnie uczuć rycerskich, poczucia dobrej sprawy, sprawiedliwości, natomiast mają ślepą cześć dla wszelkiej siły -- wraz z odpowiednią pogardą dla wszelkiej niemocy, ubóstwa i niedoli.

About między tysiącznemi anegdotami, przytacza jednę, którą niech i mnie będzie wolno za nim powtórzyć, jako obchodzącą nas bliżej.

Po burzach, które wstrząsnęły monarchią habsburską w 1848 r., garstka polaków osiadła w Atenach. Ludzie ci marli z głodu i febry, bo klimat Aten jest przy dłuższym pobycie dla cudzoziemców szkodliwy. Jednak i te szczupłe środki, jakich im dostarczano, były dla Greków solą w oku. Znieważali też owych rozbitków na każdym kroku. Wyzywani na pojedynki, trzymali się dzielnie i nie stawali na placu. Ale pewnego razu zdarzył się w Atenach pożar, który groził całemu miastu. Grecy zbiegli się zewsząd, by

patrzeć na ogień, giestykulować i wrzeszczeć — Polacy (proszę pamiętać, że cytuję słowa About'a) rzucili się w środek płomieni i ugasili je z największem narażeniem życia.

A teraz niech kto zgadnie, jaka spotkała ich nagroda?

Oto nakazano im opuścić Grecyę!

Postąpiono tak dlatego, że po owym uczynku stali się głośni kosztem Greków, że wieść o ich uczynku, a zatem i o ich pobycie w Atenach, rozeszła się po całej Europie, że zatem mogła ściągnąć uwagę, a może i jaką dyplomatyczną notę nieprzychylnego wówczas wielce dla rozbitków austryackiego rządu.

I to była wystarczająca przyczyna.

Jeśli słowa Abouta są prawdziwe — a nie był on tak dalece naszym przyjacielem, aby aż miał wymyślać anegdoty na naszą większą chwałę — to należy przyznać, że potomkowie wynalazcy logiki nie przestali wprawdzie być logicznymi, jak sam Stagiryta, ale tradycye Arystydesa zginęły między nimi nazawsze.

Jednakże w tem, co mówi wspomniany autor, i inni nowsi o Grekach, musi być niewątpliwie wiele przesady, a może więcej jeszcze nieporozumienia. Przedewszystkiem, każdy taki podró-

żnik przynosi ze sobą gotową miarę etyczną, bardzo rozległą, bo będącą wypływem cywilizacyi zachodniej i jej wyrobionej kultury moralnej. Owóż taką skalą mierzą społeczeństwo, które dopiero przed niedawnym czasem wydostało się z niewoli, istotnie sromotnej i upadlającej, a miarą tem bezwzględniej, że chodzi o obcych, nie o swoich. Zapominają także i o tem, że jak naprzykład pojęcia honoru i rycerskości były obce światu starożytnemu, tak samo może istnieć cała sfera pojęć moralnych, obcych ludom wschodnim; że te ludy, zwłaszcza podbite, jak byli Grecy, nie miały, ściśle mówiąc, przez długi czas żadnych pojęć, a rządziły się, bo się musiały rządzić, jeno zwierzęcym, samozachowawczym instynktem. Instynkt ów był dla nich miarodajnym i rozstrzygał zarówno w kwestyach etyki, jak logiki.

Dzikie ludy są wszędzie jednakowe. Kiedy raz misyonarz zażądał od nawracanego przez się murzyna, aby mu dał przykład, co wedle jego pojęć jest złem, dziki zamyślił się i odrzekł:

— Złem jest, jeśli mi kto naprzykład żonę ukradnie.

— Doskonale! — odrzekł ucieszony misyonarz. — A dajże mi teraz przykład dobrego.

Dziki nie zawahał się ani chwili:

— A dobrem jest, jeśli ja komu żonę ukradnę.

Oto jest logika ludów dzikich, zdziczałych lub dziczejących.

Jest ona także dość powszechną na wschodzie.

Ale dajmy pokój Grekom. Starą anegdotę Peschla przytoczyłem dlatego, że logikę w niej zawartą, słyszymy i w życiu codziennem i publicznem. Grzmi ona coraz powszechniej, rozlega się w łamach dzienników, wzbiera jak fala, zatapia codzień różnicę między złem i dobrem, między sprawiedliwością i niesprawiedliwością, paraliżuje zdolność moralnego oryentowania się na manowcach publiki, niszczy i sprowadza do zupełnego zaniku zmysł moralny opinii publicznej, która w końcu nie wie, lub nie chce wiedzieć, za kim ma się ująć a kogo napiętnować. Dzikim dzisiejszy świat nie jest, ale być może, że pod pewnym względem dziczeje.

About pisał swoją książkę trzydzieści lat temu. Obecne greckie pokolenie nie postąpiłoby już tak, jak jego współcześni. Nie postąpiłoby tak, bo się cywilizuje, w dobrem znaczeniu tego słowa, bo jako odrodzone, jest młode, pełne entuzyazmu, więc wyrabia w sobie i doskonali stopniowo wszystkie władze ducha, a zatem między innemi

i zmysł moralny. Równowaga tu jeszcze nie popsuta. Oni właśnie przestają być dzikimi, nie zaś dziczeją; dlatego mają już wstyd w oczach.

Mają, prócz tego, jeszcze jeden wielki przymiot, którego im nikt nie odmawia, to jest patryotyzm.

Patryotyzm ten opiera się na miłości do dawnej Hellady, równie jak i do dzisiejszej.

Mniejsza z tem, że nić tradycyi nawiązana została nieco sztucznie; mniejsza z tem, iż uczeni twierdzą, że Grecy dzisiejsi mają w żyłach zaledwie małą cząstkę krwi dawnych anaktów helleńskich, a natomiast są przeważnie mieszaniną dawnych niewolników różnych narodowości, Albańczyków i Słowian. Oni, jak są spadkobiercami ziemi, tak chcą być i są spadkobiercami tradycyi. Ztąd ich patryotyzm nie jest jako ta roślina, która się tylko powierzchni ziemi czepia, którą zatem pierwszy lepszy wiatr wyrwać może, ale wrósł w grunt i posiada siłę niewzruszoną. Posiada ją właśnie dlatego, że jest i historycznym i chce iść z postępem w przyszłość, ale wie, że racya jego bytu i źródło wiecznie bijące — na Akropolu. Więc pójdźmy i my na Akropol, bo to jest tego rodzaju źródło, że każdy z nas może

w niem zaczerpnąć, jeśli już nie czego innego, to przynajmniej wrażeń artystycznych.

Cała równina attycka jest tak mało rozległa, a wszystko tak bliskie, że podróżni ze statków, zatrzymujących się w Pireus tylko sześć godzin, mają czas tu przyjechać, obejrzyć świętą skałę. Olimpion, Tezeion, ruiny objęte nowem miastem, starożytny cmentarz Hagia Triada, muzea — i wrócić na godzinę odjazdu. Tembardziej miałem więc czas i możność, nie do naukowych badań, ale do dokładnego oglądania, bawiąc przeszło trzy tygodnie w samych Atenach. Ale to pewna, że łatwiej jest pójść z Placu Konstytucyjnego na Akropol, niż go opisać. Przytem praca moja idzie inną drogą; nie jestem hellenistą, więc chciałbym raczej zdać tylko sprawę z wrażeń, nie zaś rozprawiać szczegółowo o zabytkach, o których popisano tomy całe — owoce mozolnych i długoletnich trudów.

Idzie się wężowatą drogą, pod górę, zarośniętą agawami i kaktusami. Przed sobą i nad sobą widzisz tylko olbrzymi mur, szary, pokruszony, który częściowo tylko jest zabytkiem helleńskim, częściowo zaś wznosili go łacinnicy, lub nawet Turcy. Z poza zrębu wyglądają trójkątne szczyty i wydłużone przecznice świątyń. Pusto

było, gdym szedł; naokoło ani żywej duszy, bo godzina była południowa i upał, pomimo, iż poczęły się już pierwsze dnie listopada. W bocznej bramie drzemie stary weteran, mijasz go, przechodzisz obok domu, przy którym nagromadzono stosy marmurowych obłamków. Droga zakręca się raz jeszcze, wchodzisz schodami na górę i jesteś w Propyleach, przez które obejmujesz okiem całe szczytowe płaskowzgórze. Pierwsze wrażenie: ruina! ruina! cisza, śmierć! Niektóre zewnętrzne doryckie i wewnętrzne jońskie kolumny Propyleów, porozsuwane, trzymają się tylko ciężarem głazów; ściany strzaskane, wyszczerbione, przeświecające na wylot, poobłamywane; nigdzie poza tą sławną bramą łokcia swobodnego gruntu. Cała przestrzeń płaskowzgórza zarzucona i zawalona trzonami kolumn, zrębami przecznic, fryzów, obłamami metopów, kapiteli, kostkowemi głazami ścian. Wszystko to, prócz kilku świątyń, narzucone jedno na drugie, obsuwające się, zwieszone, pochyłe, spiętrzone, leżące w dzikim bezładzie, o którym nawet forum rzymskie nie może dać pojęcia. Podróżnikowi przychodzi do głowy, że się tu odbyła jakaś straszliwa walka olbrzymów, lub olbrzymich sił, od

których góra się trzęsła, pękały mury, aż wreszcie runęło wszystko i pozostało tylko zniszczenie.

Więc pierwszem wrażeniem, jakie się otrzymuje po przejściu Propylei — jest wrażenie katastrofy.

Chodzi się cicho, bo wszystko, co nas otacza, tak doskonale umarłe, że się nam nasze własne życie, nasz własny ruch, wydaje czemś obcem i niewłaściwem w tych miejscach.

Gdyby się spotkało znajomego, wolałoby się z nim nie mówić, tylko spojrzeć mu pytająco w oczy i przejść i siąść gdzieś w cieniu i patrzeć: jak słońce zatapia w blaskach rumowisko.

Bo tu światło, jak już mówiłem, nie pada, ale, zwłaszcza o tej godzinie, leje się potokiem. I zdawaćby się mogło, że te gorące, żywe zdroje są czemś przeciwnem ruinie, temu zniszczeniu i tej śmiertelnej ciszy. Gdzietam! I ruina i zniszczenie zyskują tylko przez nie większą wyrazistość — niemal nieubłaganą.

Więc siedzisz, patrzysz na to kamienne uroczysko, na zatopione w świetle marmury Parthenonu i Erechtejonu, aż wreszcie coś wstaje od ruiny, idzie i wstępuje w ciebie. Zaczynasz się jednać z tym światem, później bratać. Wtedy ci jest dobrze, bo wchodzi w ciebie ogromny spo-

kój, ale to taki ogromny, jaki tylko może mieć kamień i ruina.

Ich cisza staje się ciszą wędrowca. A przypuszczam, że im więcej kto ma duszę obolałą, tem mu tam musi być lepiej. Chciałoby się głowę oprzeć o pilastr kolumny, zamykać i otwierać naprzemian oczy — i koić się. Coraz bardziej robi się swojsko, coraz przyjaźniej spogląda wędrowiec na te rozległe linie Parthenonu, na biały Erechtejon i na leżące niżej Propyleje. A trzeba to chyba widzieć, aby pojąć, jak się owe złotawe ze starości budowle rysują w słońcu i błękicie, jaki spokój tych architramów, tych szeregów kolumn i frontonów! Prostota, spokój, powaga i prawdziwie boski ład — oto one. Odrazu trudno tego dostrzedz; czar działa zwolna, ale tem mocniej przenika i wkońcu upaja. I poznajesz, wędrowcze, że nie sam tylko spokój dały ci te arcydzieła, ale że cię upoiły własną pięknością, a co za tem idzie: i słodyczą.

I oto są stopniowe wrażenia, przez jakie się przechodzi na Akropolu. Gdy jesteś tam na miejscu, działają one tak silnie, że nikomu do głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany przewodnik i szukać w nim szczegółów. W domu dopiero wyczytasz, że świątyńka Nike Apteros, niedawno

z gruzów została nanowo złożona; że lord Elgin zabrał do British Museum jednę z przecudnych karyjatyd, podpierających prawy portyk Erechtejonu; że tamże powędrowały metopy parthenońskie; że wybuch prochów tureckich był przyczyną ruiny środkowej części celi tej świątyni; że odlewy metopów można widzieć w muzeum, na tejże skale leżącem; że w Erechteionie był harem baszów itp.

W pierwszej chwili również wszystko ci jedno, że Parthenon jest zbudowany w czystym stylu doryckim, Erechteion i Nike Apteros są jońskie, a w Propyleach znajdują się kolumny obydwóch porządków. Wiedziałeś to już przed przybyciem do Aten. Tu wieje na cię przedewszystkiem ogólny duch, a raczej gieniusz dawnej Hellady — i tchnienia tego rozpraszać, ani analizować nie chcesz.

I wnet wyobraźnia poczyna pracować, zaczem przedstawia sobie, jak taki Akropol wyglądał za czasów Periklesa, gdy wszystko stało na miejscu, gdy istniały świątynie, po których już niema śladu, a między niemi las posągów; gdy Parthenon nie był obdarty ze wszystkich swych ozdób; gdy z dołu można było oglądać w jego frontonach narodziny Ateny, i po drugiej stronie

spór jej z Neptunem — a włócznię Ateny Promachos widać było aż z morza. Wyobraźmy sobie zwłaszcza taką procesyę Panathenów, kapłanów, archontów, wojowników, lutnistów, lud, byki o złoconych rogach, prowadzone przed ołtarze opistodomu, i wieńce kwiatów i te draperye klasyczne, układające się posągowo. Ale prawie wolę jeszcze przedstawić sobie w myśli noc i jasno zielone światło księżyca na marmurach. Aż trudno uwierzyć, żeby ludzie mogli stworzyć taką górę arcydzieł, a jednak można to sobie wytłómaczyć. Mitologia grecka była czcią sił przyrody, czyli elementarnym panteizmem. Ale w duszy Greka artysta przeważał zawsze nad filozofem, więc naprzód poeci ubrali zjawiska w ciała i uczucia ludzkie, później przyszła sztuka plastyczna i ztąd narodziła się taka cudowna baśń kamienna.

Atena umiała też sobie wybrać miejsce na stolicę, bo cóż to za tło dla tych świątyń i posągów! Z jednej strony widać morze, które w tem przeźroczem powietrzu wydaje się tuż; z drugiej całą Attykę, jak na dłoni: góry Hymetu, dalej Pentelikon, na północ Parnes, a ku południo-zachodowi, ku cieśninie salamińskiej, Dafni. Nad wszystkiem niebo ciągle pogodne i orły, których krakanie przerywa do dziś dnia ciszę na Akropolu.

Wrażenia, jakich doznaje się na widok innych ruin, są tylko słabszem odbiciem tych myśli i uczuć, które rodzą się w duszy na widok zabytków akropolskich. Dziełom Mnesiklesa, Iktinosa i Kallikratesa nie wyrównał już nikt, ani przed Periklesem, ani po nim. Oni stworzyli nietylko Parthenon, Erechteion lub Propylee, ale zarazem ustalili architekturalny dogmat, którego odtąd będą się trzymać wszyscy budowniczowie świata starożytnego. Rzymianie pozwolą sobie dorzucić łuk swój własny, będą wznosić colosea, termy, cyrki, okrągłe świątynie, nakształt panteonu Agrypy, ale oto wszystko. Zresztą pójdą śladem owych nieśmiertelnych poprzedników i od dogmatu nie odstąpią. Mogą tylko przesadzić arcydzieła akropolskie ogromem i czynią też to w samych nawet Atenach.

Poniżej Akropolu, na wschód od urwiska, wznosiła się nad Illisem świątynia Jowisza olimpijskiego, wykończona ostatecznie dopiero za czasów cesarza Hadriana. Dziś, ze stu dwudziestu kolumn, które ją składały, pozostało tylko 16, mianowicie 13 z jednego końca, a 3 z drugiego. Kolumny owe, czysto korynckie, mają po sześć stóp średnicy i po 60 wysokości. Była to największa świątynia na równinie, skrapianej przez

Cefizus i Illisus. Titus Livius, mówiąc o niej, powiada, że była jedyną godną rozmiarami wielkości boga, któremu została poświęconą (unum in terris inchoatum pro magnitudine dei). I być może. Zews, jako ojciec Ateny i najpotężniejszy z bogów, zasługiwał na potężniejszą świątynię, ale Atena, będąc patronką Aten, była zarazem boginią mądrości, więc Zews mógł mieć tylko zolbrzymione odbicie pierwowzorów i pierwokształtów, które wyszły bezpośrednio z myśli przez „sowiooką“ natchnionej.

Nie wypada z tego bynajmniej, abym miał twórców akropolskich świątyń uważać za pierwszych wynalazców greckich porządków. Przeciwnie, rzekłem tylko, że oni ustalili dogmat, bo umieli stać się ostatnim i najwyższym wyrazem architektury greckiej, jak Fidias był swego czasu najwyższym wyrazem rzeźby. Ale przecie świątynia Tezeusza, tak podobna w mniejszych rozmiarach do Parthenonu, stanęła przed Parthenonem, równie jak zapewne i wiele innych, po których zostały jeno gdzieniegdzie osamotnione kolumny. Ów Tezeion jest najlepiej zachowanym zabytkiem przeszłości. Na Akropolu była forteca, więc gmachy, tam stojące, narażone były na wszelkie ciosy wojny, a w nowszych czasach na bom-

bardowanie. Tezeion stał w środku miasta. Ulegał on raczej zmianom tylko wewnętrznym, gdy ze świątyni pogańskiej przerabiano go na chrześciański kościół. Zburzono wówczas kolumny wewnętrzne pronaosu, a natomiast zbudowano półkolistą niszę, w której mieścił się ołtarz; wybito wielką bramę w murze oddzielającym cellę od opistodomu i oczywiście wyrzucono wszelkie posągi ze środka świątyni. Dziś, w środku widać tylko cztery nagie ściany. Światło z trudnością przenika do wnętrza, które zamieniono na rodzaj muzeum, albowiem ustawiono w niem bądź odlewy gipsowe, bądź okruchy rzeźb, zdobiących dawniej świątynię. Jak mówiłem, przypomina ona Parthenon, ale stojąc na płaszczyźnie, nie sprawia tego imponującego wrażenia, zwłaszcza, że i rozmiary jej są daleko mniejsze. Parthenon miał w długości po siedmnaście kolumn, Tezeion ma ich tylko po trzynaście i daleko drobniejszych. Parthenon miał w szerokości ośm kolumn, Tezeion jest hexastylem. Wreszcie był daleko mniej ozdobny, bo Fidias zapełnił oba frontony akropolitańskiej świątyni posągami i wszystkie metopy płaskorzeźbą. Tezeion miał tylko fryz na zewnętrznym murze celli, a metopy tylko na wschodnim boku, pokryte płaskorzeźbą, przed-

stawiającą czyny Tezeusza, dokonane przy pomocy Heraklesa. Wschodni fronton posiadał także rzeźby, z których się nic nie zostało.

Ale to są szczegóły, które miałyby wartość wówczas tylko, gdybym mógł dodać do nich przynajmniej rysunki tych gmachów. Świątynka Tezeusza dlatego jest ciekawą, że zachowała się dobrze i że daje nam zatem najdokładniejsze pojęcie o architekturze doryckiej, zarazem tak poważnej i pogodnej. Stoi ona na obszernym placu, na którym nie masz ni drzewa, ni źdźbła trawki, więc jej złotawe ze starości kolumny odbijają się z jakimś melancholijnym wdziękiem na owem szarem tle.

Z placu widać skały Pnyxu. Było to niegdyś miejsce zgromadzeń ludowych. Schody kamienne, powykuwane tu i owdzie w skałach, wskazują, którędy przechodziły gminy, aby się dostać na najwyższy taras, z którego widzi się pod stopami Ateny, po prawej ręce Muzeion, wprost Akropolis. Budowli nie ma tu żadnych, są tylko ślady olbrzymiej trybuny, zwanej w starożytności Bema, na której zasiadał lud podczas obrad. Skały te, całkowicie ogołocone z roślinności, stoją wiecznie pustką: nie spotkałem na nich żywego ducha, gwar miejski tu nie dochodzi, ciszę przerywa

tylko czasem krakanie orłów. Mimowoli przychodzi na myśl wiersz Słowackiego:

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przędziwo,
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną,
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobach latają, jak duchy.

Nie tak cicho, ale równie pusto jest na areopagu, leżącym na skłonie akropolskiej góry. Prócz miejscowości uświęconej tradycyą i głębokich szczelin w skałach, zarzuconych śmieciami, nie masz tam nic do widzenia.

W samem mieście i w jego okolicach jest jeszcze nieco zabytków godnych uwagi, jako to: stoa Adriana, stoa Attala, Agora, wieża wiatrów, mała kapliczka Lisikrata, łuk Adriana i pomnik Filopaposa, wreszcie odkryty przed niedawnemi czasy cmentarz Hagia Triada, na którym można widzieć kilka pięknych, nawet bardzo pięknych grobowców. Ale nie usiłuję dać opisu ruin, zdaję tylko sprawę z wrażeń, więc zatrzymałem się głównie na Akropolu, który najsilniej przemawia do duszy, bo streszcza w sobie wszystko, co najpiękniejszego wydała cywilizacya helleńska w zakresie sztuki plastycznej i całą potęgę greckiego gieniuszu. Tucidides zapewne Akropol miał na

myśli, mówiąc, że gdyby Ateny klęsce uległy, sądzonoby z ruin pozostałych, że były miastem dwakroć potężniejszem, niżeli są w istocie. Ateny jednak były jeszcze czterykroć razy potężniejsze, niż to przypuszczał Tucidides. Oto dawne miasto klęsce uległo i leży w gruzach, ale gieniusz miasta stworzył zbyt wiele, aby ludzkość mogła kiedykolwiek zapomnieć, ile mu winna. Zapominała i tak zbyt długo, ale takie obowiązki narzucają się zarówno pamięci, jak sumieniu. Dzięki tym uczuciom, wydarto ową sławną ziemię Turkom. Nie sam tylko interes polityczny nakazywał wskrzeszenie Grecyi, ale dla Europy był to dług do spłacenia, była to kwestya poprostu wstydu. Są rzeczy, których najbardziej nawet rozluźnione sumienia ścierpieć nie mogą i oto nadeszła chwila, w której zahuczały armaty pod Nowarinem. Ale bądźmy pewni, że gdyby nie owo olbrzymie *credit*, które na rachunek Grecyi zapisała cywilizacya, gdyby nie jej sława i czyny, gdyby nie pieśni Homera, nie wspomnienia Maratonu i Salaminy, nie te ruiny akropolskich arcydzieł, baszowie do tej pory mieliby swoje haremy w Erechteionie, a ze szczytów Akropolis powiewałaby chorągiew proroka. Więc gdy powiem, że Grecyę dzisiejszą odbudowali Homer, Milcyades, Leoni-

das, Temistokles, Fidias, Perikles i inni bohaterowie lub gieniusze tej miary, nie będzie to figurą retoryczną, ale dziejową prawdą. Pracując dla sławy swego narodu, pracowali, nie wiedząc o tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmiertelni agenci sprawili, że Grecya żyje.

SPIS RZECZY.

	Str.
Ta trzecia	1
Sachem	97
Sielanka	113
Wspomnienia z Maripozy	143
Z puszczy Białowiezkiej	163
Wycieczka do Aten	205

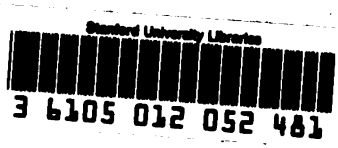

PG
11158
S4

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE

JUN 26 1997